

1.52.120

FELIKS KON.



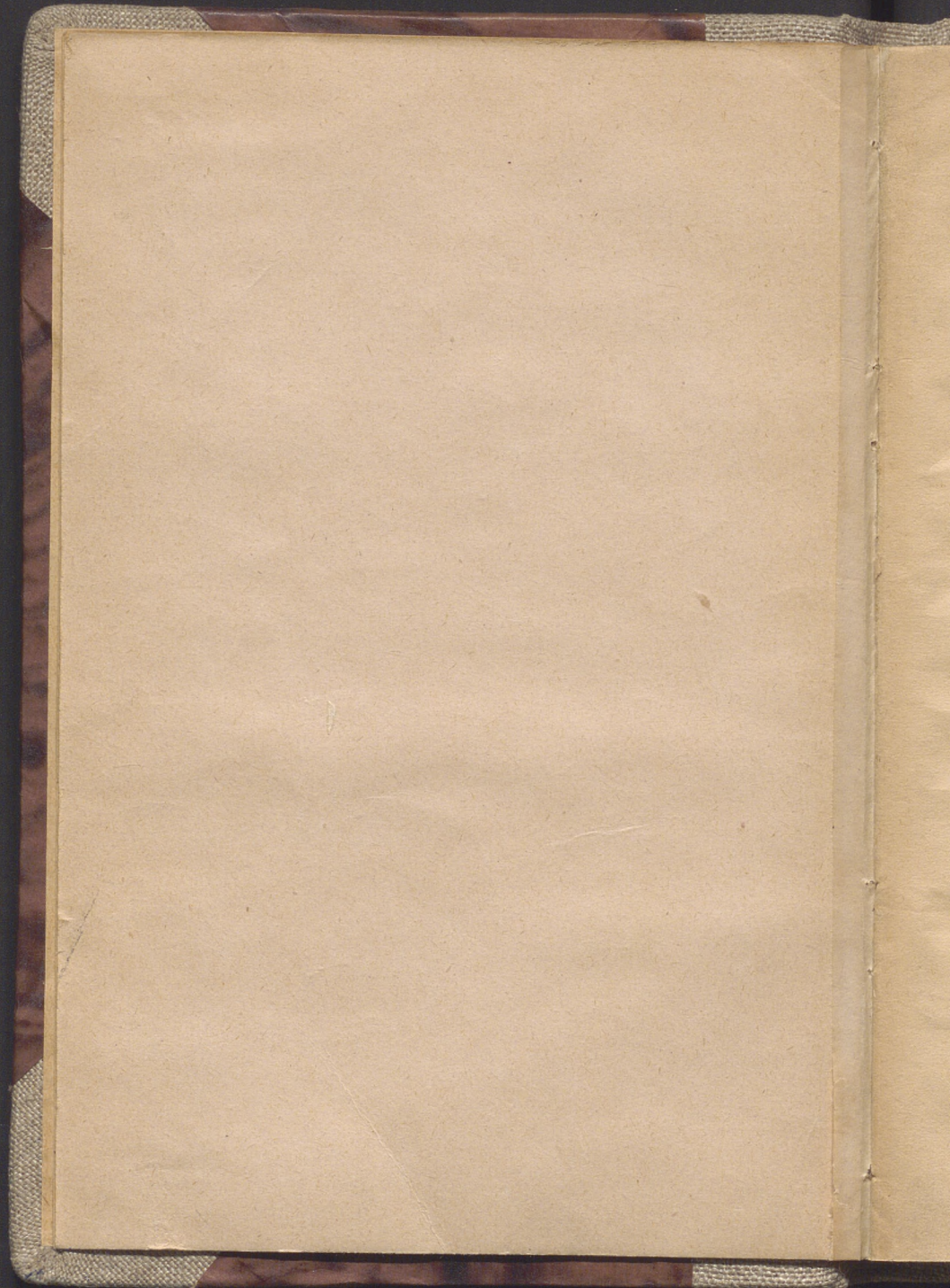
*Wg 900
215*

W KATORDZE NA KARZE
ZE WSPOMNIEN "PROLETARJATCZYKA"

W. K.

KRAKÓW.

1908.



FELIKS KON.

W KATORDZE NA KARZE.

ZE WSPOMNIENÍ „PROLETARJATCZYKA“.



KRAKÓW.

Skład główny w księgarni ludowej K. Wojnara.

Druk W. Korneckiego i K. Wojnara

pod zarządkiem Adolfa Nowaka.

1908.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



3000101657769



J.52.120

ROZDZIAŁ I.

Krótki dzień listopadowy miał się już ku końcowi, gdyśmy, pięciu skazanych w sprawie „Proletaryatu“, dochodzili do ginącego pośród niewielkich pagórków więzienia karyjskiego dla więźniów stanu.

Z zewnątrz więzienie to niczym się nie różniło od tysiąca innych, nawet od setek etapów, które nam w ciągu tylu miesięcy za schronienie podczas podróży służyły. Te same szare, wysokie, u góry zaostrzone pale, ci sami mali, jak wogóle sybiracy, żołnierze, ten sam nieokreślony głuchy poszum ściśniętego na niewielkiej przestrzeni tłumu ludzi.

Cicho i pusto... Nikt nie przejdzie, ani przejeździe... Ponure, milczące, niewielkie pagórki pokryte z wierzchu śniegiem, ze wszystkich stron okalają „martwy dom“. Znany, tyle razy już widziany obraz, który wogóle przestał już na nas sprawiać wrażenie. Tym razem jednak ze wzruszeniem spoglądaliśmy na te pale... Odgradzały one od całego świata najlepszych, najświetlejszych, najbardziej szlachetnych i ofiarnych ludzi w całej Rosyi...

W owym czasie byłem jeszcze bezwąsą młodzieńcem. Tylko dzięki zbiegowi okoliczności zajmowałem w partyi zupełnie nieodpowiednie dla mego

wieku stanowisko. I oto stojąc przed tym żywym archiwum myśli rewolucyjnej w Rosyi, byłem okropnie zażenowany... Czułem, że oto za chwilę brama więzienna się otworzy i przez długie lata mieszkać będę pod jednym dachem, żyć jednym życiem z ludźmi, których moja wyobraźnia młodzieńcza otoczyła blaskiem chwały, aureolą męstwa, szlachetności i męczeństwa. Zestawiałem w duszy ich wielkość z moją nicością i nie mogłem nie stawiać sobie zapytania, jak przyjmie mię to środowisko wielkich, jak się będę czuł w tym środowisku? Uspokajałem samego siebie tym, że spotkani przedtym Karyjczycy ani razu nie dali mi poznać ani poczuć swej wyższości. Nie wiele to pomagało. Rozumiałem, że to były tylko przelotne spotkania z pojedynczemi osobnikami, a tu lata całe żyć będę musiał z całym ogółem Karyjczyków, uosabiającym w sobie kwintesencję ówczesnej myśli rewolucyjnej w Rosyi.

Myśl, że za chwilę wrota więzienne na długie lata zatrzaskną się za nami, nawet nie przychodziła nam do głowy. Owszem, byliśmy niejako zadowoleni, żeśmy nareszcie „osiągnęli cel“. Z dnia na dzień zmieniające się warunki podróżowania w zależności od składu konwoju i od naczelników etapu, męcząca droga i bardzo często zupełne nieprzewidziane starcia z władzą, ciągłe sąsiedztwo i obcowanie z kryminalistami, hałas, brud, smród, wreszcie od stycznia do listopada trwająca pielgrzymka z więzienia do więzienia, z etapu na etap, tak zmęczyły i zdenerwowały nas, że „martwy dom“ na Karze wydawał się na niemal, że rajem.

Tylko Luri nie był rad końcowi podróży. Przybycie na Karę rozłączało go z żoną.

Konwój, który nas przyprowadził, zawiadomił o naszym przybyciu miejscową władzę. Wkrótce zjawili się żandarmi, a jeszcze kilka minut później już niemłody rotmistrz żandarmski. Małe, chytre oczy, uprzejmy, ale jawnie obłudny uśmiech, cichy, rzekłybyś, że zakradający się do duszy głos, kocie, „miękkie“ ruchy ani na chwilę nie pozostawiały w nas wątpliwości, że jest to „Kot“ — komendant więzienia Nikolin, znany ze swych donosów na wszystkich bez różnicy rangi i stanu. W stosunku do uwięzionych „Kot“ był nad wyraz obłudnym. Nadskakujący, uprzejmy i grzeczny w rozmowie, Nikolin na każdym kroku kopał dołki pod uwięzionymi i niemal, że z każdą pocztą wysyłał do władz raporty, zmierzające ku „ukróceniu“ uwięzionych. Karyjczycy bardzo dokładnie zdawali sobie sprawę ze stosunku do nich „Kota“, to też z wyjątkiem urzędowych przedstawicieli uwięzionych: starosty i bibliotekarza, nikt z nim w żadne rozmowy się nie wdawał. Nie sprawiało to na Nikolinie wrażenia i do ostatniego dnia swego pobytu na Karze stale się trzymał wiarołomnej polityki. Rozumieli Nikolina nie tylko więźniowie polityczni, ale i sfera urzędnicza, na którą również pisał donosy, nie krępując się ani ich rangą, ani stanowiskiem.

— Cóż, wciąż pan pisze, panie rotmistrzu? — demonstracyjnie w naszej obecności zapytał go pewnego razu generał-gubernator.

Nikolin przyłożył dwa palce do czoła, skłonił

głowe, ale tego samego dnia napisał o tym zapytaniu generał-gubernatora do Petersburga.

Nas pięciu Nikolin przywitał ze szczególną uprzejmością. Niegdyś był on na służbie, bodaj że jako agent wydziału śledczego, w Warszawie i rozmową o kraju rodzinnym zamierzał zaskarbić sobie nas... O „Kocie“ mieliśmy już wtedy dokładne pojęcie i sztywno, urzędowo odpowiadaliśmy na każde jego zapytanie.

Nie podobało mu się to. Skontrolował naszą tożsamość z dołączonymi do dokumentów fotografiami, zapytał niewiadomo po co, czy niema wśród nas rzemieślników i poleciwszy „starszemu“ żandar-mowi odprowadzić nas do więzienia, wyszedł.

A tam, z tamtej strony ogrodzenia, towarzysze przez szczeliny pomiędzy palami przyglądali się nam, z niecierpliwością oczekując naszego przyjscia, wiadomości i nowin ze świata.

Formalności, związane z przyjmowaniem nas, skończyły się wreszcie i wrota więzienne szeroko się przed nami rozwarły, by za chwilę na długie lata znowu szczelnie się zamknąć za nami... Wprowadzono nas do więzienia kolejno, po jednemu...

Gdym wszedł na podwórze więzienne, odrazu otoczony zostałem przez tłum ludzi o wybladłych, iście więziennych, twarzach, wcale nie harmonizujących z tem aresztanckim ubraniem, jakie nosili...

— Witajcie, witajcie! — rozlegały się dokoła głosy... — Dajcie swój worek... Zaniesiemy... To Kon — informowali jedni drugich... Będziecie siedzieli w „Jakutce“.

Jak oszołomiony odpowiadałem na wszystkie przywitania i pytania, niemal że mechanicznie idąc za

wyprzedzającymi mnie towarzyszami, z tych wszystkich pytań i okrzyków rozumiejąc jedno, że wyznaczono mi najbardziej burzliwą celę „Jukutkę“, która temu zawdzięczała swą nazwę, że w niej znajdowali przytułek ci wszyscy, którzy dla tych lub innych powodów nie mogli żyć się z mieszkańcami innych cel. „Jakutka“ nadto składała się z największych „protestantów“.

Spotkani w drodze na Karę towarzysze rozmaite o „Jakutce“ wydawali sądy. Jedni wychwalali ją pod niebiosa, uważając mieszkańców „Jakutki“ za najbardziej żywych, najbardziej rewolucyjnych towarzyszy. Inni przeciwni nie żałowali czarnych kolorów dla scharakteryzowania tych „wiecznie burzliwych, wiecznie protestujących krzykaczy“. Tym sądom nie nadawaliśmy żadnego znaczenia: zbyt były one subiektywne i stwierdzały li tylko, że na Karze istnieje „patryotyzm celkowy“, że każdy przywiązuje się do pewnej określonej celi, która najbardziej odpowiada jego osobistemu usposobieniu. I rzeczywiście taki patryotyzm istniał na Karze. Każda cela miała swe indywidualne oblicze, tylko jej właściwe piętno, ludzie dobierali się w celi według upodobań, usposobienia; współżycie w jednej celi też nie pozostawało bez śladu, ludzie żywali się z sobą, murem stali jeden po stronie drugiego nie tylko w ważnych sprawach wewnętrznych, ale nawet i w błahych — podczas turniejów szachowych lub też podczas ulubionej rosyjskiej gry „gorodki“, gdy jedna cela walczyła o lepsze z drugą...

We mnie „Jakutka“ pozostawiła ślad głęboki a niezatarty; ośmnaście lat już od tego czasu minęło, a jednak i dziś, ilekroć wspominam o tej celi, zawsze

to wspomnienie wywołuje w mej duszy żywe uczucie przywiązania i wdzięczności względem tych, z którymi nie jeden rok przy jednym stole, na jednych „narach“ spędziłem... Była to niemal jedyna cela, która nie niwelowała indywidualnych różnic, nie ścierała indywidualnego piętna człowieka... To uszanowanie jedności, uwzględniane zdania nie tylko mniejszości, ale nawet poszczególnych członków, było osobliwością tylko „Jakutce“ właściwą.

Mówiłem już o „patryotyzmie celkowym“, zastrzegam się, że to uczucie i mnie nie było, a bodaj że i nie jest obcym i że inni towarzysze może nie podzielają tego mego poglądu.

W chwili przybycia na Karę i ja również nie byłem zachwycony tym, że mię losy do „Jakutki“ rzuciły i zazdrościłem Dulębie i Rechniewskiemu, którzy się dostali do „Dworjanki“ — celi bardzo zgodnej, bardziej spokojnej i cichej, niż „Jakutka“. Niezadowolone swe, oczywiście ukryłem głęboko w duszy i podążyłem za towarzyszami.

W „Jakutce“ już się paliła lampa, zwieszająca się nad podłużnym stołem. Obok stołu z obydwóch stron stały dwie długie a wąskie ławki. Ściany w celi były pobielane, tapczany i półki nad nimi zarówno, jak podłoga, świeciły czystością. Cela była duża, o trzech dużych oknach. Pierwsze wrażenie cela sprawiała wspaniale... Odzwyczailiśmy się już od wygod stałego zamieszkiwania, a tu odrazu się odczuwało, że wszystko, co w tych warunkach jest możliwym dla udogodnienia życia, jest zrobionym.

W chwili mego wejścia do celi, było tu 12 sta-

łych mieszkańców i goście z innych cel, do których nikt z nowicyuszów się nie dostał. Niemal że natychmiast po przywitaniu się, rzucono nam (oprócz mnie, do „Jakutki“ dostał się Luri) pytanie:

— Cóż? Wyszedł numer „Narodnej Woli!“

— Wyszedł. Przywieźliśmy go...

Powszechnie zadowolenie... Po kilku chwilach, „gości“ wezwano do cel na kontrolę, po której zamknięto więźniów na klucz, a klucze odnoszono komendantowi. W razie pożaru, lub innego jakiego nieszczęścia, dopiero po nie posyłano... Tak jest we wszystkich zresztą więzieniach... Wyższa władza nie ufa niższej, ta znów najniższej, i jeżeli kiedyś Polska nierządem stała, to obecna Rosya stoi nieufnością...

Po wyjściu gości dopiero na dobre rozpoczęły się rozpytywania.

Jedni przerywali drugim. Ci pytali o jedno, owi o co innego. Odpowiadaliśmy naturalnie, ale dopiero wiele, wiele lat potym zorientowałem się co do znaczenia stawianych wówczas przez towarzyszy pytań i co do ich sformułowania. Tu w jednej celi, przy jednym stole siedzieli przedstawiciele wszystkich odcieni rosyjskiej myśli rewolucyjnej. Byli tu i ludowcy-ziemlewołcy, którzy dotąd nie mogli się pogodzić z myślą, że działalność wśród ludu została przez ówczesnych rewolucjonistów odsuniętą na dalszy plan; byli „buntarzy“, uznający terror, ale mający wielkie wątpliwości specjalnie co do teroru politycznego, jako systemu walki; byli wybitni działacze „Narodnej Woli“, którzy z wielką ironią mówili o aktualnym punkcie ówczesnego programu taktycznego partyi — „pochwy-

ceniu władzy“; byli członkowie „Narodnej Woli“, którzy z pianą na ustach bronili tego punktu; byli wreszcie rewolucyoniści tylko z usposobienia, niezadowoleni z istniejącego stanu rzeczy, zdający sobie sprawę z jego wad, ale nie posiadający żadnego programu pozytywnego... I wszyscy ci ludzie, gwałtem oderwani od życia, odbierający wrażenia z zewnątrz, ale pozbawieni możliwości reagowania na nie, w każdej odpowiedzi na postawione przez nich zapytanie, gorączkowo chwyтали takie rysy, które, jak im się zdawało, potwierdzały słuszność ich poglądu, lub obudzały w nich nadzieję, że ruch znowu się skieruje na tory, przez nich uznawane za jedynie odpowiadające interesom ludu pracującego.

Pod tym względem, my, jako Polacy, jako ludzie, którzy działali w zupełnie im nieznanym środowisku — w kraju, który się tak jaskrawo różnił od włościańskiej Rosyi z jej „obszczyną“, „artelami“ i „mirem“, nie bardzo byliśmy dla nich ciekawi. Z naszych odpowiedzi niewiele dla siebie i dla swego kraju wysnuć mogli. — Ale z drugiej strony interesowali się nami, jako pierwszymi polakami, skazanymi za propagandę socjalistyczną. Nie znaczy to wcale, żeśmy byli rzeczywiście pierwszymi polakami na Karze. Nie... Ale Bohdanowicza, Bohrenowskiego, Studzińskiego, Mirskiego, Krasowskiego, Sękowskiego, a później Paszkowskiego, jako pochodzących z Ukrainy, Litwy i Południowej Rosyi Karyjczycy nie uznawali za „prawdziwych“.

Wogóle o Polsce i o Polakach, mieli nader słabe pojęcie. Polacy wydawali się wielu owymi „polacz-

kami“ Dostojewskiego, albo też ludźmi kłótliwymi, chełpliwymi, w każdej chwili dla najbardziej błałego powodu gotowymi na awanturę.

O życiu wewnętrznym Polski współczesnej, o nowej Polsce, Polsce ludowej, budzącej się z wielowiekowej spiączki i występującej na widownię dziejową, Karyjczycy nie mieli najmniejszego wyobrażenia. Cóż tedy dziwnego, że wiadomość o sprawie „Proletaryatu“, o skazaniu na ciężkie roboty przeszło 20 ludzi, a przeważnie robotników, wywołała niemal że popłoch na Karze. Obawiano się, by to „najście obcoplemieńców“ nie obaliło długo i mozolnie opracowanych zasad współżycia, by nie podważyło u podstaw całego ustroju życia karyjskiego. O tym, że nas tylko pięciu miało odbywać tu katorgę, więźniowie dopiero od nas się dowiedzieli...

Do jakiego stopnia ci ludzie jednym dachem państwowym związani z nami, nie mieli pojęcia o tym, co się u nas w kraju dzieje, świadczy ich zdumienie, kiedy usłyszeli, że umiemy mówić po rosyjsku...

Z niemalym zainteresowaniem rozpytywali nas Karyjczycy o stosunkach w Polsce i hen daleko za północ przeciągnęła się rozmowa. Fala życia wolnego, jak burzliwy potok, wtargnęła w życie więzienne i zerwała ramy zwykłego porządku...

Wspólny pobyt w celi przeszło dziesięciu ludzi nie mógł nie wywołać pewnego unormowania stosunków wzajemnych. W przeciwnym razie jedni przeszkadzaliby drugim, o żadnych poważnych zajęciach nie mogłoby być mowy i życie w więzieniu byłoby pie-

kłem. Wychodząc z tych założeń, więźniowie ustalili pewien „modus vivendi“.

Kilku ludzi wstawało między godziną 2-gą a 3-cią w nocy, w chwili gdy gwiazda „Syryusz“ wschodziła zimową porą nad palami, dzięki czemu nazywano ich „Syryuszami“. Ci „Syryusze“ siedzieli do rannej kontroli. Przez cały ten czas nie były dopuszczalne żadne rozmowy. Kto się budził pierwszy, nastawiał samowar i budził innych. Zachowując możliwą ciszę, ludzie się ubierali, myli i zasiadali za książkę, od której odrywali się na krótką chwilę, by zaparzyć herbatę i by wypić jedną lub dwie szklanki. Gdym pierwszy raz, obudziwszy się w nocy, zobaczył tych zagłębionych w księgi ludzi, sprawili na mnie wrażenie jakichś starożytnych mędrców...

By wstać o tak rannej godzinie, „Syryusze“ się kładli spać o 8-mej wieczorem, a w owej godzinie inna grupa — grupa wieczorników zasiadała do książki, by siedzieć nad nią do jakiej 2-giej w nocy. Do 10-tej wieczorem w celi jeszcze rozmawiano przyciszonym głosem, potem już nic nie zakłócało ciszy.

W ciągu dnia zato panowała w celi niczym niekępowana wolność i o poważnym zajęciu nie mogło być mowy. A zresztą od samego rana już rozpoczynało się życie więzienne, nie bardzo sprzyjające umysłowej pracy. O 5-tej z rana na korytarzu rozlegały się kroki żandarmów i dźwięki kluczy, przyniesionych od komendanta. „Syryusze“ w każdej celi budzili dyżurnych i ci w piątkę szli do kuchni. O 7-mej, już ci dyżurni przynosili do wszystkich cel wrzątek i żarzące się węgle, „chleboriez“ — krajczy chleba — pokrajany

chleb. Wszędzie stawiano samowary i kolejno, w miarę wstawania, pito herbatę. O 8-mej odbywała się kontrola, o pół do 9-tej wsuwała się przez lufcik we drzwiach głowa starosty i rozlegało się zawsze jedno i to samo pytanie: „czego komu potrzeba?” Każdy stałował potrzebne mu wiktuały: tytoń, herbatę i t. d., które tegosamego dnia otrzymywał zazwyczaj jeszcze przed południem. Po starości zjawiała się w lufciku we drzwiach głowa bibliotekarza, który zapisywał żądania na książki. Dyżurni sprząтали celę. Życie, normalne życie więzienne, rozciągało swe panowanie nad wszystkimi. O pierwszej jadano obiad, a o 6-tej podwieczerek. Pożywienie było niewystarczające, wielu cierpiało głód, zwłaszcza, że podstawa istnienia naszego, chleb razowy, niezawsze był dobrze wypieczony, bo kryminaliści, którzy ten chleb piekli, chcąc wygrać na wadze, umyślnie go niedopiekali... Dzięki takim warunkom, szkorbut, ta plaga wszystkich więzień, zaglądał i pod strzechę karyjską i wielu, zwłaszcza na wiosnę, chorowało. Ze szczupłych funduszków, jakie posiadaliśmy, udzielaliśmy część środków na polepszenie żywności dla słabych towarzyszy, ale niewiele to pomagało.

Ilość chorych wzrastała. Nie żałowaliśmy niczego, by ich utrzymać przy życiu; założyliśmy własną apteczkę, towarzysz-lekarz i we dnie i w nocy nie spuszczał z oczu chorego, a jednak coraz częściej śmierć wydzieriała nam towarzyszy, cmentarz specjalnie dla politycznych na Karze coraz się bardziej zaludniał, a w więzieniu stawało się coraz bardziej smutno i ponuro, znikał spokój, następowało rozgoryczenie, roz-



jątrzenie... Wielu ginęło w stęchłych murach więzienia wyłącznie przez bezprawia, jakich się względem nas dopuszczano. Zwykłych przestępców po pewnym przeciągu czasu wypuszczano z więzienia i pozwalano im mieszkać w pobliskiej wsi; do politycznych, wbrew prawu, zastosowano inną modłę: ograniczono liczbę wypuszczanych do tak zwanych „wolnych komand“ do piętnastu, a reszta bez względu na to, że dawno już miała prawo do wypuszczenia, pozostawała przez długie lata w więzieniu i tu ginęła od szkorbutu, suchot i t. d. Temu nic zaradzić nie mogliśmy. Natomiast w życiu wewnętrznym Karyjczycy robili co mogli, by życie to uczynić możliwie znośnym.

Wszyscy uwięzieni wszystkie środki materialne, otrzymywane od krewnych lub znajomych oddawali do powszechnego użytku, tworząc komunę. Każdy członek komuny otrzymywał chleb, obiady i podwieczorki, a na wszelkie inne potrzeby wyznaczano tak zwany equivalent — czyli pewną kwotę pieniędzy, którą mógł dowolnie rozporządzać. Kwota ta, w zależności od stanu finansów, wahała się od 75 kop. do 1 rb. 50 kop. miesięcznie. Miało to starczyć na cukier, herbatę, tytoń, zapałki, papier, ołówki i t. p. Wydatki na korespondencję pocztową i telegraficzną pokrywała komuna, absolutnie nie kępując w nich nikogo.

Zarządzał sprawami komuny wybieramy raz na pół roku za pomocą tajnego głosowania starosta. Wybór starosty nie był łatwym. Funkcjonaryusz ten z umiejętnością gospodarską powinien był łączyć wielki takt, powiedziałbym nawet dar prowadzenia wszelkich stosunków z władzą bez ujemy dla uwięzionych, ale

też bez wywoływania dla powodów błahych konfliktów i zatargów. Na Karze było bardzo wielu zdolnych do prowadzenia gospodarstwa więziennego, niemniej też było towarzyszy mogących z godnością spełniać odpowiedzialną funkcję reprezentacji uwięzionych, ale takich, którzyby w swej osobie łączyli jedno z drugim, było bardzo niewiele i bardzo często głosowania na starostę odbywały się po kilka razy, zanim wybór został dokonany, bez względu na to, że agitacja na rzecz tego lub innego kandydata była prowadzoną przed wyborami i podczas samych wyborów, niemal że w chwili pisania nazwiska na kartce wyborczej. Wyborem starosty interesowały się i władze, gdyż wybór ten do pewnego stopnia był wskaźnikiem „zewnętrznej“ polityki więzienia.

Drugim wybieranym funkcjonariuszem był bibliotekarz, którego rola była mniej odpowiedzialną, przez co wyborom na ten urząd nie nadawano wielkiego znaczenia, i przez cały czas mego pobytu na Karze urząd ten pełnił jeden i ten sam towarzysz, Włodzimierz Czujko, którego co pół roku wybierano niemal jednogłośnie. Bibliotekarz żadnych reprezentacyjnych funkcji nie pełnił, urząd jego polegał na utrzymaniu w porządku biblioteki i na wydawaniu i zachowaniu sprawiedliwej kolei książek i czasopism towarzyszom.

Przy sposobności kilka słów o bibliotece.

Mówiłem już o tym, że wszystkie środki materialne otrzymywane przez więźniów stanowiły ogólną własność. Nie tyczyło się to ani rzeczy otrzymywanych z domu, ani książek. Wychodzono z tego założenia,

że przysłane przez krewnych rzeczy po za wartością użytkową mogły posiadać własność pamiątkową, to też oddanie lub nieoddanie takich rzeczy do komuny pozostawiano do uznania otrzymującego. I rzeczywiście, wśród otrzymywanych rzeczy bardzo często znajdowały się bluzy, wyhaftowane przez matki, żony lub narzeczone... Oczywiście takie rzeczy każdy zachowywał dla siebie. Ale zaznaczyć tu muszę, że wszystkie inne rzeczy i produkty każdy składał do ogólnego użytku i bardzo często niemal że z matematyczną ścisłością dzielono między uwiezionych przysłany komuś tytoń, konfitury lub inny jaki przysmak...

Niekiedy tego tytoniu starczyło na jeden lub dwa papierosy, niekiedy nawet i na to nie starczyło, ale od zasady nie odstępywano, wszystko dzielono skrupulatnie, a gdy niewielka ilość jakiego produktu nie dopuszczała podziału między wszystkich, zachowywano kolej: dziś dzielono pomiędzy członków jednej celi, a następnym razem — innej.

Książki według konstytucji Karyjskiej stanowiły własność osobistą otrzymującego, oddawaną do użytku ogólnego na cały czas pobytu danej osoby w więzieniu. Uchwalając to, więzienie wychodziło z założenia, że książki dla fachowców zupełnie tak samo jak narzędzia pracy dla robotników mogą być nieraz nieodzownie potrzebne po wyjściu z więzienia. Lekarz, inżynier czy adwokat przez pozbawienie książek mogliby być pozbawieni możności zarobkowania w dziedzinie swej specjalności. Póki właściciel książek był w więzieniu — z żadnych nie korzystał pod tym względem przywilejów, o ile oczywiście książka nie miała

dlań wartości pamiątkowej, ale w chwili opuszczenia więzienia miał prawo zabrać z sobą wszystkie otrzymane przez cały czas pobytu na Karze książki. Nie zważając na to, nikt jednak nigdy z tego prawa nie korzystał i biblioteka na Karze stale wzrastała i ilościowo i jakościowo, wynosząc w chwili skasowania więzienia blisko 6000 tomów.

Obecnie biblioteka ta należy do Towarzystwa Geograficznego w Czycie, któremu została złożoną w darze przez byłych Karyjczyków.

Zarówno starosta jak i biljotekarz byli zwolnieni od wszelkich innych obowiązków i od wszelkich robót, spełnianych przez resztę towarzyszy, z wyjątkiem chorych i słabych. Rzeczywistych „ciężkich robót“ na Karze zupełnie nie było, wprowadzono je dopiero po skasowaniu karyjskiego więzienia. w Akatuju, gdzie polityczni na równi z kryminalistami pracowali w kopalniach.

Były jednak roboty na zaspokojenie potrzeb więzienia: gotowanie obiadu, przygotowywanie łaźni, palenie w piecu, mycie i sprzątanie pokoju, że pomine już pranie bielizny dla siebie, a niekiedy i dla chorych towarzyszy, szycie ubrania i obuwia, a raczej przerabianie ich na możliwe do noszenia i t. d.

Dyżur w kuchni przypadał mniej więcej raz na 6 tygodni w ciągu całego tygodnia. W dyżurze takim brało udział 5 towarzyszy: kucharz główny, głowa i kierownik, zwykle wybitny znawca sztuki kulinarnej; kucharz szpitalny, gotujący specjalne pożywienie dla chorych i słabych i uwzględniający wszelkie wskazówki lekarza, dwóch towarzyszy silnych fizycznie do wszel-

kiego rodzaju cięższych robót: dźwigania wody i drzewa, roznoszenia wrzątku, węgla, obiadów i t. p. — Wreszcie jeden, zwykle fizycznie słabszy — coś w rodzaju „popychadła“, którego posyłano po produkty do starosty, używano do obierania cebuli, rąbania mięsa i t. d. Główni kucharze zazwyczaj konkurowali pomiędzy sobą o lepsze i niektórzy zyskali na tym polu powszechne uznanie...

Nad wyraz dziwne musieliby sprawić wrażenie na obcego ci nasi dyżurni kucharze i ich pomocnicy. Spory zasadnicze, rozstrzygające losy nie tylko Rosyi, ale niemal że całego rodu ludzkiego, nie ustawały ani na chwilę i nieraz bardzo źle się odbijały na naszym obiedzie. Najgorzej się na nim odbiła kwestya, nader poważna zresztą, czy Rosya już wkroczyła na tory kapitalizmu, czy też jeszcze nie ma dostatecznych danych do wyciągania takiego wniosku. Spór prowadzili dwaj wybitni przedstawiciele dwóch różnych kierunków: cytowali fakty, cyfry, różnych autorów...

Naraz rozlega się rozkaz głównego kucharza:

— Roznosić wrzątek!

Jest to sygnał, że nastąpiła najgorejsza chwila... Na rozmowy wówczas już niema czasu. Jeden z dyżurnych staje przy kotle, z czerpakiem do nalewania w rękę, dwaj inni podstawiają naczynia, i pędem odnoszą do cel, by natychmiast wrócić, schwycić następne, znowu odnieść i t. d. Robota kipi. Po roznieśieniu wrzątku, nalewa się wodą opróżniony kocioł, roznosi się żarzące węgle i następuje najbardziej uroczysta chwila: podziału i roznoszenia zupy, gotowanej w kotle znajdującym się tuż obok kotła z wrzątkiem.

Jak opętani rzucili się prowadzący spór do kotła z zawczasu przygotowanymi naczyniami. Ale spór był zbyt zażarty, by go odrazu przerwać było można. Są chwile przerwy w pracy podczas nalewania naczyń. Korzystają z tego. Spór trwa. Roznieśli wrzątek. Chwytają za kubek do wody, biegną do beczki, nalewają. To wszystko nie przeszkadza prowadzeniu dalszego sporu. Chwytają nalany kubek, wlewają do kotła.

Krzyk rozpaczy, jaki się wyrwał z piersi kuchacza, dopiero ich doprowadził do przytomności. Przed samym rozdaniem obiadu cały kubek wody wleli do zupy. Lotem błyskawicy wieść o wypadku w kuchni obiegła całe więzienie. Nikt, oczywiście, żadnych wyrzutów nie robił winowajcom, kryjącym się po kątach. Odbyła się narada „specjalistów“.

Przyniesiono kupę drzewa i włożono do pieca. Obiad dano dopiero po godzinie, ale pięć wiader wody nie tak znowu łatwo wyparować i zupa była obrzydliwą.

Gdyby zechcieć takie epizody spisywać, nie starczyłoby chyba i skóry wołowej. Zwłaszcza nowicyusze dostarczali nie mało powodów do żartowania z nich, a brak i potrzeba wrażeń nieraz pobudzała bardziej doświadczonych do urządzania im „kawałów“. Celował w tym Paweł Iwanow. Pamiętam wypadek, kiedy dwom nowicyuszom Iwanow z najpoważniejszą miną w świecie dał w ręce duże tasaki kuchenne i kazał im porąbać proso. Nie zastanawiając się nad tym, co robią, usłuchali go i z jaki kwadrans rąbali. Innemu, jak zwykle nowicyusze, bardzo gorliwemu, gdy mu co chwila zawracał głowę zapytaniem: „a teraz co robić?“

kazał wziąć do ręki patyk, wleźć na piec i pilnować, by karaluchy nie wylazły ze szczelin na pierogi. Ani na chwilę nie wątpiąc, że Iwanow mówi poważnie, nawiąknął wykonał rozkaz z literalną ścisłością, wleź na piec, stał z patykiem w ręku na straży, dopóki głośny śmiech spowodowanych przez Iwanowa na to widowisko towarzyszy nie zluzował go z posterunku.

Ofiarą żartów Iwanowa padło wielu, padłem i ja. Było to przed Wielkanocą. Iwanow nie tylko kucharz, ale i piekarz doskonały, podjął się przygotowania pieczywa. Ja pełniłem, jak zwykle zresztą, funkcję popychadła.

— Zagotujcie mleko — rozkazał mi szef — weźcie od starosty 4 funty cukru, porąbcie na kawałki, a potem rozetrzyjcie na mialko, wrzucicie do mleka, a potem znowu zapytajcie, co macie dalej robić.

Ani moździerza, ani tłuczka nie mieliśmy na Karcze, i owo rozcieranie dokonywaliśmy za pomocą wałka od ciasta. Napracowałem się nie mało, na dłoniach starłem skórę, a po wykonaniu wszystkiego usłyszałem oznajmienie, że cukier posiada właściwość rozpuszczania się w mleku i że zupełnie zbytecznie się trudziłem.

Te żarty urozmaicały pracę, chociaż wogóle dyżurowanie w kuchni nie było ani uciążliwym, ani przykrym, a odbywane raz na sześć tygodni może było i pożyteczne, bo przeplatało pracą fizyczną ciągłą pracę umysłową.

Bardziej przykrym był dyżur w łaźni, raz na 12 tygodni w ciągu 2 dni, o ile nie znajdowało się ochotników do pełnienia tych funkcji. Dźwiganie kubłami

wody na 70—80 ludzi, zwłaszcza zimową porą, dzwiganie i rąbanie drzewa było uciążliwe i przykre.

Bądź co bądź te zajęcia, zarówno jak i utrzymywanie porządku w celi zupełnie nie odpowiadały pojęciu „ciężkich robót“. Ale nie tylko pod tym względem Kara bardzo mało pozostawiała do życzenia. Każdy mógł robić, co mu się podobało. Byli tacy, którzy poważnie studiowali pewne działy nauki, inni znowu uprawiali rzemiosła, jeszcze inni sztukę.

W czasie pomiędzy zajęciami nie gardzono i rozrywkami. Urządzano rozmaitego rodzaju gry, niekiedy wspaniała chór zbierał się w jednej z cel i osładzał nam chwile więzienne śpiewem jaknajrozmaitszych pieśni najrozmaitszych narodowości, pomiędzy innymi i polskich. Nie zapomnę chyba nigdy, jakie sprawił na mnie wrażenie śpiew „Boże coś Polskę“... w znakomitym rosyjskim tłumaczeniu:

„Boże czto Polszu rodimuju naszu
Cholił, leliejał stol dołgije gody
Nynie k tiebie my woznosim molenje
Daj nam swobodu, poszli izbawlenje“.

Z polskich pieśni w rosyjskim tłumaczeniu śpiewano również „Wiatr szumnie wionął“, po polsku śpiewano „Z dymem pożarów“, „Co to za gwar“ i inne.

Władze nie przeszkadzały ani grom ani śpiewom. W ogóle w czasach normalnych — a właśnie myśmy przybyli w takich czasach na Karę, — sprawowały się zupełnie poprawnie, w niczym nie przekraczając granic zachowania formalności. Listy, książki i rzeczy przesyłane przez krewnych kontrolowano i rewidowano,

wierzchniego ubrania nie aresztanckiego do więzienia nam nie przepuszczano, głowy zgodnie z instrukcją nam golono, do noszenia kajdan nie zmuszano, co prawda, ale miejscowa władza widziała zupełną niemożność zmuszenia do tego i ograniczyła się do żądania, by w razie odwiedzin władzy wyższej więźniowie na czas ich pobytu nakładali kajdany i żądania te były przez nas uwzględnione. W ogóle, gdyby stosunki zależały od władzy na miejscu, znającej warunki i wiedzącej czego można, a czego nie można żądać, zatargi następowałyby daleko rzadziej. Ale tak ważnej misji, jak utrzymanie w karbach więźniów stanu, centralne władze nie decydują się oddać w ręce władzy miejscowej, układają w Petersburgu instrukcje, które przy zastosowaniu w praktyce nieraz ośmieszają je w obec całego świata.

Jedną z takich niedorzeczności jest punkt instrukcji, wzbraniający uwięzionym pisania listów do rodziny i nakazujący komendantowi zawiadamianie raz na miesiąc rodzin uwięzionych o ich zdrowiu i potrzebach. Pomijając już to, że dla wykonania tego komendant musiałby mieć olbrzymią kancelaryę, przy pierwszej próbie zastosowania tego, rodziny, nie ufając zawiadomieniom komendanta, nie wierząc nawet, że żyją ci, o których zdrowiu zawiadamiał, podniosły w departamencie policji olbrzymi alarm, oznajmiły, że nie mają nawet możliwości skontrolowania, czy przesyłane więźniom rzeczy i pieniądze dochodzą do nich i instrukcję zmodyfikowano: więzień odtąd pisał własnoręcznie, ale pisząc sam pisał o sobie w imieniu komendanta. Bodaj to pomysłowość policyjna! I wy-

maganiom instrukcyi stało się zadość i krewni mieli własnoręczne listy uwiezionych. Odtąd pisało się listy w ten sposób:

Syn (brat, mąż) Pana (lub Pani) jest zupełnie zdrów. List z dnia otrzymał. Prosi o wysłanie mu tego lub owego. Pod listem podpis „Oddzielnego korpusu żandarmów podpułkownik taki a taki“. Z biegiem czasu zupełnie przystosowaliśmy się do tej formy listów i krewni nasi w setną rocznicę wzięcia Bastylli otrzymali list, w którym „oddzielnego korpusu żandarmów podpułkownik“ przypuszczając, że list nadejdzie mniej więcej 14. lipca, w imieniu syna składał powinszowania. Biedny żandarmski podpułkownik! Ani przypuszczał, co to za data... Ale z listów tych korzystaliśmy nie tylko dla takiego naocznego przekonywania rodzin, że nie tracimy na humorze. Nieraz o najważniejszych wypadkach życia na Karze komunikowaliśmy po angielsku w tytułach rzekomo potrzebnych nam książek i jakaż radość panowała wśród uwiezionych, gdy rodzina w odpowiedzi rzekomo odmawiała przysłania tych książek. ale obiecywała przysłać jedną p. t. „Undestood“ — „zrozumiane“...

A komendant zachodził w głowę, skąd wszyscy w całym świecie wiedzą, co się w więzieniu naszym dzieje...

ROZDZIAŁ II.

Dobrze nam było z miejscową władzą, nie celującą ani rozumem, ani inteligencją, ani sprytem. Ale bo też te zalety były tu zupełnie zbyteczne. Władze centralne wysilały całą swą inteligencję na to, by izo-

lować nas od całego świata żywego, jak gdyby państwo w gruzy się obrócić od tego mogło, jeżeli zamknięci na odległość 10 tysięcy wiorst od stolicy więźniowie prześlą krewnym, znajomym a nawet towarzyszą jakąś wiadomość o sobie, a choćby o wynikach, do jakich ich doprowadziło rozmyślanie w więzieniu o kwestjach społecznych. Nie dopuszczano do więzienia ani gazet ani miesięczników; otrzymywane przez więźniów listy smarowano różnemi odczynnikami chemicznymi, by się przekonać, czy rodziny nie komunikują więźniom, broń Boże, czego z wolności, żandarmi skrupulatnie rewidowali nawet kryminalistów którzy nam wodę przywozili do więzienia i przeszukiwali produkty spożywcze.

A jaki był ich tryumf, jaka radość, gdy im się udało przyłapać kartkę, przesyłaną do towarzyszek, albo do którego z wypuszczonych do „wolnych komand“. Było to dziwne i śmieszne. Cóż im lub komukolwiek mogło szkodzić, że mąż, siedzący w więzieniu, prześle bez kontroli żandarmów list żonie, również w więzieniu siedzącej? Nie! było to wzbronione... Ale to nie wystarczało na to, by komunikacja nietylko pomiędzy męskim a żeńskim więzieniem, ale pomiędzy nami a całym niemal światem istniała bez przerwy. Otrzymywaliśmy drogą nielegalną listy, gazety, miesięczniki, a od czasu do czasu pisma zagraniczne i nawet wydawnictwa nielegalne. Miejskowa władza wiedziała o tym, ale nie miała możliwości temu zapobiedz, bo zbyt żywotną kwestyą było to dla uwięzionych, by nie wymyślili jakiego środka... Robiono rewizye, znajdowano mnóstwo kontrabandy, trofea te wysyłano jako

dowód swej czujności do gubernatora, by po tygodniu znowu szukać, znowu znaleźć i znowu się pochwalić... Niekiedy to chwalenie się bokiem wyłaziło komendantowi. Razu jednego przyłapał pocztę do więzienia dla kobiet. Niezwykła ta gratka — schwymano przeszło 60 listów — wprawiła go w zachwyt. Natychmiast, nawet nie przeglądając schwytej korespondencji, opieczętował ją i przesłał do Czyty... Był pewien pochwały za gorliwość. Naraz otrzymuje w bardzo ostrych wyrazach zredagowane pytanie: z czyjego zezwolenia więźniowie stanu mają w więzieniu aparat fotograficzny?... Gdzie? co? jak? jakim sposobem i skąd wie o tym gubernator, kiedy on, komendant więzienia, po raz pierwszy o tym słyszy? Biedakowi nawet na myśl nie przychodziło, że sam nasmarował na siebie donos, bo przesłał gubernatorowi korespondencję, w której znajdowało się kilkanaście fotografii, zdjętych w więzieniu i przesłanych towarzyszkom. Nie wiem, co komendant odpisał gubernatorowi i jak się usprawiedliwił, ale nazajutrz znowu u nas zrobiono rewizję. Był to środek niemal że jedyny, zawsze stosowany, nieraz dający realne rezultaty w postaci książek, które drogą nielegalną dostały się do więzienia, ale jako środek zapobiegawczy, zawsze chybiający celu. Ale żandarmi i temu byli radzi, nawet nie podejrzewając, że takie książki, jak dzieła Marksa, Engelsa, Czernyszewskiedo i t. p., surowo nam zabronione, oczywiście dlatego, by nas uchronić od zarazy socjalistycznej, pod firmą innych autorów, stale się w więzieniu znajdowały i nieraz sami żandarmi przenosili je z jednego więzienia do drugiego, nie przypuszczając nawet, jakie

okropne rzeczy w swych prawomyślnych rękach trzymają...

„Tyle lat, gdzie ja nie był“, a jednak i dziś nie mogę zrozumieć celu wszystkich zarządzeń władz centralnych. Zdawaćby się mogło, że to nasze więzienie ma ci im spokój w Petersburgu, tyle uwagi na nas zwracano, tak dbano o naszą poprawę, o nawracanie nas na drogę właściwą.

Gdy choroby dziesiątkowały Karyjczyków, gdy ludzie dostawali obłądu i nadal pozostawali ze zdrowymi w jednej celi, gdy miejscowe władze komunikowały o opłakanych warunkach pobytu na Karze, carmirotwórca i jego ministrowie zdobywali się li tylko na skonstatowanie tego faktu słowami: „smutny, ale dobrze znany obraz!“ *) i wszystko w dalszym ciągu pozostało po dawnemu; ale na „moralną“ poprawę więźniów nie żałowano środków i rokrocznie przyjeżdżali na Karę, nie zważając na odległość olbrzymią, dygnitarze petersburscy, by naocznie się przekonać o nastroju uwięzionych i by wymódz na słabszych, zgiętych już wieloletnim więzieniem, ukorzenie się, podanie prośby o ułaskawienie. Taki dygnitarz bywał zazwyczaj bardzo grzeczny, słodziutki, nadskakujący, rozpytywał każdego z osobna o zdrowie, o termin ciężkich robót, a słysząc odpowiedzi: „bez terminu“, „20 lat“, „30 lat“, wzdychał głęboko, jakby ze współczuciem i coś zapisywał w notatniku.

Cała ta procedura, zawsze według jednego szablonu, nawet w szczegółach, powtarzająca się, wywo-

*) Własnoręczny napis Aleksandra III. na memoryale o Karze, złożonym przez gubernatora.

ływała w uwiezionych obrzydzenie i nieraz prowokowała ich na ostrą odpowiedź. Jedna z takich scen głęboko utkwiała w pamięci wszystkich. Wysoki urzędnik departamentu policyi, Rusinow, zapytując kolejno wszystkich, zbliżył się do Pawła Iwanowa:

— Jak się pan czujesz?

Iwanow był ciężko chory. Kilkakrotnie z drogi na Karę próbował uciekać, rozjątrzeni żołnierze po schwytaniu literalnie skatowali go: zgnetli mu klatkę piersiową, kolbami potłukli głowę. Odtąd chorował na suchoty i na epilepsyę. W chwili odwiedzin Rusinowa ledwo się ruszał.

— Znakomicie! — odpowiedział na zapytanie urzędnika.

— Iwanow jest chory, bardzo chory — wtrącił komendant.

Twarz Rusinowa przybrała wyraz niewysłowionego smutku.

— A długo masz pan tu jeszcze siedzieć?

— Nie, niedługo.

— Ile?

— Czterdzieści pięć lat.

Tylu lat ciężkich robót kodeks rosyjski nie uznaje. Albo skazują na pobyt w ciężkich robotach bez terminu, albo maximum na 20 lat. Rusinow był pewny, że Iwanow kpi z niego, ale aczkolwiek on przez swe odpowiedzi zupełnie wyraźnie mówił czynownikowi: „Noli me tangere!“, to jednak wymieniony przezeń termin był zupełnie prawdziwy. Początkowo Iwanow był rzeczywiście skazany tylko na 20 lat, ale potem mu dodano za trzy próby ucieczki jeszcze 25 lat.

Rusinowowie nie odznaczają się odwagą. Obawa, by taki Iwanow, zniecierpliwiony jego natrętnymi pytaniami, nie odpowiedział mu słowem lub czynem, przerwała ową indagację i poseł departamentu policyi, zachowując przyzwoitą odległość, oznajmił wszystkim mieszkańcom celi, że przyjechał specjalnie, by zapoznać się ze stanem rzeczy w więzieniu i wszelkie uzasadnione żądania uwzględnić a jeżeliby kto pragnął na osobności z nim pomówić o sprawach dotyczących wyłącznie danej osoby, w każdej chwili gotów jest mu służyć... W tych słowach tkwił cel misyi Rusinowa. Było to wezwanie do skrucy, do wyrzeczenia się całej przeszłości, do podania prośby o ulaskawienie... Głuche milczenie, wyzywające ironicznie spojrzenia uwięzionych, były zazwyczaj odpowiedzią na ten naiwny cynizm. Przyjezdni wielcy psychologowie, wielcy znawcy duszy ludzkiej, nie rozumieli nawet tego, że takie wyrażenie skrucy na zawołanie i za wynagrodzenie nawet w własnych oczach tych, którzy, złamani i zgięci wieloletnim więzieniem, na to się zdecydować, jest tak poniżającym i hańbiącym, że w obecności towarzyszy niedoli, towarzyszy, z którymi się razem szło na śmierć i na życie, nigdy się na nie nie odważą. Nie rozumieli że takie rzeczy muszą być ukrywane w cieniach kancelaryi, bo inaczej nawet najbardziej upadli przypominają sobie o swej godności osobistej i nawet w ostatecznej, decydującej chwili ze wzgardą odrzucają ohydne propozycje...

Dziwnym się może wydać to, że departamentowi policyi tak bardzo zależało na tym, by możliwie więcej więźniów wyraziło skrucę... Chodziło mu o ideę,

o system, o dowiedzenie, że stosowane przezeń środki gną i łamią nawet najdzielniejszych. To też „miłosierdzie“ nie znało granic i nawet oskarżony o carobójstwo, po podaniu prośby, natychmiast był wypuszczany na wolność a w krótkim czasie przywracano mu prawa i pozwalano nawet zamieszkać w Rosyi europejskiej. Obaw, że dana jednostka, po wydośtaniu się na wolność, znowu podniesie sztandar rewolucyi, żandarmi nie mieli. Kto raz sztandar ten splamił, choćby tylko przez ideowe odstępstwo, dla tego w szeregach walczących niema miejsca. O tem żandarmi wiedzieli doskonale... A że człowiek nieraz tylko jedną chwilę zwątpienia przyplaci potym męczarnią długoletnią, to ich oczywiście nie obchodziło, jak nie obchodziło ich, czy skrucha była szczerą i nawet, czy dana jednostka już dawno swym postępowaniem podczas śledztwa nie postawiła się po za obrębem walczących. Żandarmom chodziło li tylko o możliwość zakomunikowania swym bezpośrednim władzom, że taka ilość więźniów już złamaną została, chodziło o „bumage“, chodziło o liczbę, jak we wszystkim i zawsze, by sprawiła ona odpowiednie wrażenie na sferach, od których awans danych czynowników zależał... A że rzeczywistość nie odpowiadała „bumadze“, to już nie było oczywiście winą tych gorliwych urzędników...

Wspomniałem już o ludziach, którzy przez swe prowadzenie się podczas śledztwa utracili prawo do miana „towarzyszy“, a jednak znajdowali się na Karze. Byli tacy, niestety.

Rząd carski nie zawsze bywa taki względny dla zdrajców, jaki w naszej sprawie dla Pacanowskiego,

któremu za dźwignięcie czterech szubienic zamieniono ciężkie roboty na osiedlenie. Zwykle zdrajcy, korzystający z względów żandarmeryi podczas śledztwa, gdy już wyciśnięto z nich wszystko, co wycisnąć było można, są poniewierani nawet przez swych inkwizytorów i judaszostwo nie ratuje ich od katorgi. Taki Andrzej Bałamez, zaaresztowany w Odesie w sprawie Czubarowa, Lizoguba i innych, przebrany za rewierowego chodził po mieście i wskazywał policji rewolucjonistów, a jednak został skazany na 20 lat katorgi. „Murzyn swoje zrobił, murzyn może odejść!“ Okrucieństwo żandarmów względem tych ludzi, na których judaszostwie budują swą karierę, jest tak wielkie, że wtrącają ich do tego samego więzienia, niemal, że do tej samej celi, w której się znajdują zdradzeni przez nich towarzysze... Można sobie wyobrazić stan duszy jednych i drugich. W pierwszych latach istnienia Kary, gdy pierwsi zdrajcy przybyli do więzienia, kwestya stosunku do nich była bardzo trudną do rozwiązania.

Jedni oburzeni ich niecnym czynem, czując do nich niemal, że fizyczny wstręt, domagali się stosowania do nich zupełnego bojkotu, zerwania z nimi wszelkich stosunków; niechaj w więzieniu czują się jak na wyspie bezludnej, niech nikt do nich nie przemawia, niech nie istnieją dla towarzyszy bez względu na to, co się z nimi dzieć będzie, czy głód im będzie dokuczał, czy władze będą nimi pomiatać. Prócz wzgardy nic dla tych ludzi mieć nie powinniśmy.

Ale takie krańcowe rozstrzygnięcie kwestyi było tylko teoretycznym jej rozstrzygnięciem. Pomijając to, że za popełnioną zbrodnię mieliśmy im stworzyć ka-

torgę w katordze, coś gorszego niż śmierć, bo przez długie lata co dzień, co godzina, co chwila niemal mieli odczuwać na każdym kroku naszą pogardę, z każdego naszego gestu, ruchu, spojrzenia nawet mieli odczytywać to, że są podli; pomijając już to, czyż rzywiście bylibyśmy w stanie sami obojętnie patrzeć, jak ludzie w naszej obecności jęczą z głodu, kiedy my, syci, jesteście w stanie ich od tego uratować? Czyż rzywiście moglibyśmy pozostać obojętni, gdy władze zaczną się zneść nad ich godnością osobistą, korzystając z tego, że nikt w obronie ich nie wystąpi?... Nie! Była to tylko teoria. Ogół karyjczyków na takie postawienie kwestyi ani nie chciał, ani się mógł zgodzić. I zostawiono ich w więzieniu na równych prawach z innymi, ciesząc się duszy z tego, że byli to ludzie ubodzy, że przez przyjęcie do komuny daje im się lepsze warunki bytu, nic w zamian nie biorąc... To było jedyne szczęście i ich i nasze... Bo d a w a ć takim ludziom można, ale jakże od nich b r a ć cokolwiek?

Na pozór będąc równymi pozostałym towarzyszom, wszyscy ci zdrajcy czuli się jednak obco, bardziej niż obco w naszym środowisku, bo nie mogli nie odczuwać przedziału, powiedziałbym przepaści pomiędzy sobą a nami. Nie tylko o przyjaźni, ale nawet o koleżeńskich stosunkach nie mogli tu być mowy. Z konieczności zbliżali się ci nieszczęśliwi pomiędzy sobą. Ale brak wzajemnego uszanowania i temu stawiał tamę i źle tym paryasom było na Karze, bardzo źle...

Nie dziw więc, że uprawiana przez departament policji polityka zachęcania do korzenia się, do poda-

wania prośb o ułaskawienie, była przez nich powitaną z największą radością i ze w krótkim przeciągu czasu wszyscy zdrajcy jeden po drugim przez podanie prośby zwolnili towarzyszy od swojej obecności, wywołując wśród uwięzionych uczucie ogromnej ulgi.

Kontyngens podających prośby o ułaskawienie, niestety, składał się nietylko z tych już dawno upadłych ludzi. Byli i inni, uczciwi, przekonani których dziesięcioletni pobyt w więzieniu złamał i skruszył. Ci ludzie, padając do stóp cara, mieli zupełną świadomość ohydy swego czynu.

Pisali prośby, a dusza się w nich burzyła przeciwko temu. Była to straszna walka ciała z duchem, instynktu samozachowawczego z sumieniem.

„Ja też chcę zaznać życia... Ja nie żyłem jeszcze... Wybaczcie towarzysze! „pisał jeden z tych upadłych, najbardziej uczciwy, najbardziej nieszczęśliwy. Uczciwość nie pozwalała mu kryć przed towarzyszami prawdy. Pisał to, co czuł w rzeczywistości. Rwał się na wolność, jak motyl rwie się do światła, niepomny, że wyrzuty sumienia doszczętnie w zgliszcza obrócić cały urok tej wolności, że mary straconych na szubienicy towarzyszy we dnie i w nocy jak zmora dusić go będą i tę upragnioną wolność zatrują; że wspomnienie o tych, których porzuca w więzieniu, którzy też życia nie zaznali, też mieli prawo do tego życia, ale którzy to swoje prawo złożyli na ołtarzu idei i ginęli w więzieniu, że wspomnienia o nich wytrącają mu z rąk pułhar życia i wszelką radość zatrują... Nie pamiętał o tym i zginął... ukorzył się, upadł i dziś z hańbą

swego odstępstwa przed wszystkimi się kryje, nie śmiać nawet do kraju rodzinnego powrócić...

Jak dziecko płakał, gdy wychodził z więzienia na tę upragnioną wolność...

„Przebacście, przebaczcie towarzysze!“

Wszyscyśmy byli przygnębieni, nikt doń ręki nie wyciągnął, nikt słowa przebaczenia nie był w stanie z siebie wykrztusić.

Ten socjalizm, za który tyle krwi już ściekło, nie był dla nas tylko przekonaniem, wyznaniem społeczno-politycznym. Był on naszą wiarą, naszą religią, uświęconą męczeńską śmiercią ukrzyżowanych bojowników. W takich warunkach odstępstwo od krwią zbroczonego sztandaru stawało się niezmytą plamą na nim, której nie mogliśmy przebaczyć.

Nie wszyscy renegaci jednak tak szczerze i uczciwie przyznawali się do pobudek, skłaniających ich do takiego czynu. Przeciwnie; wielu chciało się usprawiedliwić wobec nas, a może i wobec siebie, przez powołanie się na zmianę przekonań, na utratę wiary... Nie przekonali nikogo, nie wyłączając siebie samych... Tam gdzie za przekonania wieszają lub przez długie lata męczą w więzieniach — oznajmiać urzędownie o zmianie przekonań, by uzyskać przebaczenie jest zbrodnią, jest uświęceniem, sankcją gwałtu nad innymi. To też mieliśmy na Karze towarzysza, prawda dotkniętego obłudą umysłowym, ale bądź co bądź człowieka, który uczciwie zmienił dawne przekonania... W jego chorym umyśle socjalizm nie wykluczał rządów absolutystycznych, był to carysta w literalnym tego słowa znaczeniu, uwielbiający Aleksandra III-go, a jednocze-

śnie szczerzy demokrata, całą duszą oddany sprawie ludu pracującego. Widział istniejące zło, gotów był walczyć do ostatka z klasami uprzywilejowanymi, gotów był stosować jaknajokropniejszy terror względem urzędników, rzekomo wykoszlawiających zarządzenia ubóstwianego przezeń cara — opiekuna i ojca ludu pracującego. Ale ten człowiek, prośby o ułaskawienie nie podał. W takiej prośbie widział pohańbienie, splugawienie tych najszczerzych swych uczuć, jakie go pchnęły na ciernistą drogę rewolucyi... O, jakże górował ten „carysta“, odbywający bezterminową katorgę, chory na umyśle i na duszy, ale szanujący swą godność, nad tymi, którzy okiełznać żądy życia nie umieli... Było mu ciężej niż innym... Na każdym kroku obrażano jego wiarę w cara, nie krepowano się w doborze wyrazów dla napiętnowania rządów cara kobieto-bójcy...*)

Zżymał się, niekiedy rzucał się na ludzi, ale poniżającej jego godność prośby nie podał i... biada temu śmiałkowi, któryby się poważył podanie takiej prośby mu zaproponować!... Gdzie jest obecnie, czy wyzdrowiał, czy pod wpływem wypadków ostatnich innym okiem na cara spogląda, nie wiem... Wiem jedno; ten „carysta“ dla nas wszystkich był, jest i będzie szanowanym towarzyszem, a ci co za misę soczewicy w postaci wolności sprzedali swe pierworodztwo rewolucyjne, do dziś dnia tylko pogardę w nas wzbudzają...

*) Aleksander III. pierwszy zastosował karę śmierci do kobiety. (Perowskiej).

Wielu z nich nie miało odwagi cywilnej, przyznać się do tego czynu i pokryjomu te prośby podawali. Żaden z nich ani na chwilę nie pozostał w jednym więzieniu z nami. Fizycznie nic im nie groziło. Wiedzieli o tym. A jednak wychodzili z więzienia natychmiast, nie mogąc znieść wzroku towarzyszy...

Tych wyrażających skruchę było względnie bardzo niewiele. Nawet departament policji, któremu bardzo zależało na wykazaniu jak największej liczby tych „nawróconych“ na 217 uwięzionych na Karze kobiet i mężczyzn, zaledwie 25 w oficjalnych sprawozdaniach wykazuje. W tej liczbie nie było ani jednej kobiety. Ale w poczet tych 25 weszli tacy ludzie, jak Bałamez, o którym już wspominałem; Kozakiewicz były komisarz policji w Polsce, jeden z „usmiritelej“ powstania, niewiadomo dlaczego zaliczony w poczet więźniów stanu; Mielnikow — były kryminalista, skazany na 20 lat ciężkich robót za drobny udział w zamachu na Czerewina, Owczynnikow również kryminalista, oskarżony o zamach na szpiega, Ossowskij Stefan — kryminalista, uznany przez władzę za więźnia stanu tylko dla tego, że po pijanemu lżył cara; Cyplow — kryminalista, a nadto kilku zdrajców.

Ale wśród podających prośbę o ulaskawienie byli niestety i rzetelni rewolucyoniści, nawet tacy, których nazwiska na zawsze zostaną w dziejach Rosji. Był wśród nich Jemieljanow, jeden z uczestników zamachu na Aleksandra II., który miał rzucić trzecią bombę, gdyby bomba Hryniewieckiego zawiodła, człowiek onego czasu tak silny duchem, że wezwany jako naoczny świadek zamachu na śledztwo do policji,

z najzimniejszą krwią składał zeznania, mając bombę w kieszeni. Był wśród nich także Mikołaj Buch, jeden z wybitnych działaczy jeszcze w czasach „choźdienia w narod“ (chodzenia pomiędzy lud), następnie wybitny członek partii „Narodnaja Wola“, skazany na 15 lat ciężkich robót za zbrojny opór władzy w chwili zaareztowania drukarni. I jednego i drugiego złamało więzienie. Ulegli.

Każdy taki wypadek podania prośby na czas dłuższy zatrwał uwieczonym pobyt na Karze. Jakiś wstyd za nich i za siebie ogarniał wszystkich. Za nich, że się poniżyli; za siebie, żeśmy ich uchronić od tego nie zdołali. Gorzkie były to chwile. Oglądaliśmy się z nieufnością dokoła, jakby pytając: „no, kto teraz!“ Wielu krzywdziliśmy w duszy. Zwykły rezultat nieufności! Ale za to ci, co do których nie było wątpliwości, bardziej zbliżali się pomiędzy sobą, instynktownie ścieśniając swe szeregi i w tym zbliżeniu szukając ratunku przed ciosami wroga. O, jakże nienawidziliśmy tego wroga za ten upadek towarzyszy! Traciliśmy jednak tylko na ilości, ale zyskiwaliśmy na jakości. I tryumf rządu nie długo trwał. Podczas najbliższego protestu rząd przekonał się naocznie, że ogółowi karyjczyków trądu renegacyi nie zaszczepi i że ogół ten umrze, ale z obranej raz drogi zepchnąć się nie da.

Zanim to jednak nastąpiło, zanim rząd miał sposobność przekonać się o tym, wielkie moralne cierpienia znosili więźniowie, zwłaszcza w ciągu kilku dni poprzedzających protest.

Dopóki bieg życia na Karze był normalny, wielu słabych a zgiętych potrafiło utrzymać na wodzy żądę

życia i cierpiąc fizycznie, znajdowało jednak dosyć siły w sobie, by się od moralnego upadku uchronić. Ale przy pierwszym podmuchu nieprzyjaznego wiatru, ci słabi duchem ułękli się mających spaść na więzienie represyi i opuszczali je, jak szczury porzucają tonący okręt. Władze nie mogły nie ujrzeć w tym wyniku represyi i wzmagaly je coraz bardziej, w naiwnej wierze, że to przyspieszy upadek innych... Omyliły się... Jedyłą myślą, jedynym niemal marzeniem uwiezionych było, by ci słabi jak najprędzej opuścili mury więzienne. „Co masz uczynić, czyń prędzej!“ I na szczęście z wyjątkiem jednego Bucha, który podał prośbę już po proteście i motywował to podanie względami rodzinnymi wszyscy inni postąpili w myśl marzeń uwiezionych.

Co się z tymi nieszczęśliwymi dzieje obecnie, gdy ruch rewolucyjny ogarnął całe państwo nie wiem... kryją się gdzieś po kątach, przeklinając zapewne w duszy tę chwilę słabości.

ROZDZIAŁ III.

Niedługo po przybyciu na Karę, korzystaliśmy z opisanego wyżej stann normalnego. Półtora roku zaledwie. Ogólna reakcyą, jaka zapanowała w Rosyi za rządów Aleksandra III., nie mogła się nie odbić na losach więźniów stanu, do dziś dnia bowiem losy tych więźniów są w ścisłej zależności od polityki rządu w danym czasie. W chwili odwilży politycznej więźniowie są traktowani po ludzku, niekiedy władze nawet z pewnym uszanowaniem i uniżonością się do nich odnoszą, ale jak tylko z Petersburga wiatr reakcyi za-

wieje, natychmiast w najodleglejszych zakątkach państwa nagle bez żadnych przejściowych kroków następuje zwrot, zmiana. Wczoraj jeszcze wygnańcy, mieszkający w miastach lub we wsi, swobodnie chodzili na polowanie, robili dłuższe wycieczki... Władze miejscowe nieraz nietylko milcząco na to zezwalały, ale i w prywatnej rozmowie zaznaczały, że nie sposób jest krępować pod tym względem więźniów... Naraz wszystko to ustaje... Wygnaniec kroku po za miasto zrobić nie może... Ustawa, która wczoraj jeszcze spoczywała „pod sukmem“, dziś posiada siłę obowiązującą, i zaczynają się awantury, sprawy, protesty, deportacja coraz dalej na północ, a niekiedy i krwawe starcia...

W więzieniach używanym bywa ten sam system. Wszystkie zalecane przez ustawę środki, w normalnych czasach uznawane za niewykonalne i niedorzeczne, odrazu otrzymują moc obowiązującego prawa. Odcięci od świata więźniowie oczywiście nie mogą być „au courant“ polityki rządu i zmiana ta zaskakuje ich z nienacka. Przyzwyczajeni już do innego obchodzenia się z nimi, nieraz przypisują tę zmianę gburowatości danego osobnika — żandarma, a nawet komendanta — i ostro, bez porozumienia się z innymi towarzyszami, z miejsca dają odpowiedź rzekomemu gburowi... Ale niebawem przekonują się, że wpadli w rozstawione sidła, że władze tylko szukały pretekstu do zaczepki... I znowu w cichym dotąd więzieniu rozpoczynają się starcia, protesty, gwałty...

Jest to nader charakterystyczne, że szal protestu zawsze naraz ogarnia wszystkie więzienia w państwie,

znajdujące się nieraz na odległości tysięcy wiorst. Zjawiska takiego jesteśmy świadkami obecnie, w czasach orgii reakcyi, zjawisko takie rzuca się w oczy za panowania Aleksandra III. Wszędzie nieszczęśliwy rząd się bronił, a więźniowie ginęli dziesiątkami. Miało to miejsce i w twierdzy petropawłowskiej i w Szlisseiburgu, na Sachalinie i na Karze; nawet w nieskończenie wielkim, aczkolwiek bez murów więzieniu, w krainie wygnania — Syberyi. Wszędzie lały się strumienie krwi, wszędzie powody były blahe, wszędzie miejscowa władza była li tylko „knutem w rękę kata“.

Ale sprowokowanie więźniów i wygnańców, łatwe gdzieindziej, wcale nie łatwym było na Karze. Tam gdzie stu odpowiada za nieopatrzny krok jednego, ludzie uczą się oględności i panowania nad sobą, nie dają się lekkomyślnie wciągnąć w zastawione sidła, długo wahają się przed rozpoczęciem protestu, ale skoro już protest taki się rozpocznie — giną ale nie ustępują. Kara już w 1882 roku przeżyła kilkunastodniowy strejk głodowy, który nie skończył się śmiercią więźniów tylko dlatego, że rząd ustąpił. Już ta tradycja nie rokowała rządowi łatwego zwycięstwa... Miejscowa władza walki tej podjąć się nie mogła i zapoczątkowała ją władza wyższa w osobie nadamurskiego generał-gubernatora barona Korfa, który w drodze z Petersburga do swej rezydencji Chabarowska odwiedził Karę 15. sierpnia 1888 roku. W stolicy baron oczywiście otrzymał odpowiednie instrukcye...

— Dlaczego więźniowie nie noszą kubraków aresztanckich? — oto niemal pierwsze słowa generał-gubernatora podczas tych historycznych odwiedzin...

Instrukcja, w przewidywaniu, że ubiór aresztancki może obrazić przyzwoitość, nakazuje noszenie kubraków — długich, szarych płaszczów w rodzaju szlafroków. W więzieniach dla kryminalistów ten nakaz instrukcji bywa zawsze ściśle przestrzegany, ale w więzieniu na Karze był on co najmniej zbytecznym, bo więźniowie, bardziej niż władze dbali o to, by być przyzwoicie ubranymi i nieraz całe dnie spędzali na przerabianiu niezgrabnego kubraka na marynarkę lub tużurek.

Satrapa był niezadowolony i głośno swoje niezadowolenie wyrażał. Jeżeli pomimo to jednak wizyta generał-gubernatora w męskim więzieniu nie doprowadziła do konfliktu, to nie dlatego, że Korf wahał się wykonać rozporządzenie otrzymane w Petersburgu. O, nie! Dowiedział tego całym swym dalszym postępowaniem. Więzienie dla mężczyzn uniknęło zatargu li tylko dzięki temu doświadczeniu, jakie posiadali więźniowie, dzięki już wyrobionemu systemowi obchodzenia się z przejeźdnymi dygnitarzami, dzięki temu, że nie było takiej siły, któraby była w stanie zniewolić więźniów do zmiany tonu, bądź na mniej urzędowy, bądź też na bardziej wyzywający i ostry. Chłodno, sucho i sztywno brzmiały odpowiedzi: „tak!“ „nie!“

O nic nie proszono, niczego nie żądano, na nic się nie skarżono i w żadne rozmowy z dygnitarzami się nie wdawano. Od tego systemu nie odstąpiono i tym razem, i generał-gubernator z dwoma towarzyszącymi mu generałami: gubernatorem zabajkalskim — Choroszczinem i naczelnikiem syberyjskiego zarządu żandarmskiego odeszli z kwitkiem.

Inaczej skończyła się wizyta w więzieniu dla kobiet.

Jedna z uwiezionych, Elżbieta Kowalska, skazana przez kijowski sąd wojenny w 1881 roku na ciężkie roboty bez terminu, już niejednokrotnie przewożona w celach izolacji z jednego więzienia do drugiego, jako karę za próby ucieczki i za zatargi z władzą, kobieta już niemłoda, zdenerwowana i sterana wieloletnim więzieniem, chcąc uniknąć spotkania z generałami ukryła się w małym namiociku w ogródku więziennym. Przypadek zrządził, że generałowie po skończonej wizytacji powracali do czekających na nich przed bramą więzienną powozów właśnie przez ten ogródek i że namiocik zwrócił ich uwagę... Weszli i zostali Kowalską leżącą. Wstać — krzyknął Korf.

Zwykle więźniowie, by uniknąć tego poniżającego wstawania jeszcze przed przyjściem władzy chodzili po celi, a w chwili jej wejścia tylko zaprzestawali chodzenia... Kowalska, na którą odwiedziny generalskie spadały nieoczekiwanie zrobić tego nie mogła, a posłuchać w tym tonie wydanego rozkazu też było nie sposób.

— Wstać! — jeszcze raz powtórzył Korf i usłyszał odpowiedź „precz!“.

Oburzony baron, wydaje rozkaz wywiezienia Kowalskiej do centralnego więzienia w Wierchnieńdińsku...

Takie wywiezienie do innego więzienia nie było czymś niezwykłym... Wywożono ludzi z Kary nawet do twierdzy petropawłowskiej i nigdy to nie wywoływało protestu. O ile stosowane przez rząd środki nie obrażały naszej godności osobistej, o ile nie poniżały, o tyle nie protestowaliśmy przeciwko nim. Wstępując

na drogę rewolucji wiedzieliśmy z jakim wrogiem mamy do czynienia, najbrutalniejsze środki nie były dla nas niespodzianką, niemal każdy z uwiezionych na Karze przeżył trawienie towarzyszy na stryczku... Dla czegoż mielibyśmy protestować teraz, kiedy wówczas nie protestowaliśmy?... A jednak władze, jak gdyby czując, że cały ten zatarg z Kowalską sztucznie został przez nie wywołany, postanowiły cichaczem wykonać rozkaz Korfa.

Nad ranem, za ledwie świtać zaczynało, żandarmi zamknęli cele znajdujących się w tym samym więzieniu co Kowalska, Kalużnej, Smirnickiej i Kowalewskiej i zabezpieczywszy się w ten sposób od możliwego oporu ze strony trzech śpiących kobiet, pod wodzą trzech urzędników: naczelnika więzienia kryminalnego Bobrowskiego, setnika kozaków Archipowa i komendanta więzienia dla politycznych na Karze, Masiukowa wtargnęli do celi śpiącej Kowalskiej. Z ich rozkazu kryminaliści schwycili ją w jednej koszuli i wynieśli z więzienia... Obudzona w ten sposób Kowalska zemdląła... Nie wstrzymało to gorliwych wykonawców woli Korfa. Omdlącą przeniesiono do jakiejś izdebki na brzegu rz. Szyłki, tu w obecności mężczyzn i wspomnianych wyżej trzech czynowników, którzy pozwolili sobie przytym na cyniczne dowcipy, ubrano ją w odzież aresztancką, poczem wsadzono do łódki i pod eskortą trzech kozaków wysłano do Wierchniendińska.

Wiadomość o gwałcie dokonanym nad Kowalską, natychmiast doszła do więzienia dla kobiet. Kowalewska, Kalużnaja i Smirnickaja rozpoczęły protest głodowy.

„Nie mamy — pisały w rozlepionej we wsi Ust'-Kara odezwie — innego sposobu pomśzczenia gwałtu i znęcania się nad naszą towarzyszką. Jedyńy środek, jaki nam pozostał, jest to pomśzczenie własną śmiercią. Tego środka postanowiliśmy użyć — morząc się głodem“...

Więzienie dla mężczyzn znajdowało się na odległość 15 wiorst od więzienia dla kobiet. Ta odległość była przyczyną tego, że wiadomość o gwałcie nad Kowalską otrzymaliśmy dopiero kilka dni potem, gdy towarzyszki już cztery dni się głodziły...

Wypadek nadto był tak niezwykły, a list Maryi Kowalewskiej, która nam komunikowała o zajściu, był napisany w tak podnieconym tonie, żeśmy nie dawali wiary, by wszystko tak właśnie odbyć się mogło... Co najważniejsza, towarzyszki się już kilka dni głodziły, żądając ukarania i usunięcia winnych z zajmowanych posad. Jasnym było, że rząd nie ustąpi odrazu. Przyłączenie się w takich warunkach do strejku głodowego nie miało najmniejszego sensu, bo nam niczym ono nie groziło i ofiarami musiały paść towarzyszki, które o kilka dni dłużej by się głodziły.

Trudno było znaleźć wyjście z tego położenia. Napisano listy do towarzyszy, znajdujących się w „wolnych komandach“, zażądano zbadania sprawy, zakomunikowania szczegółów... A towarzyszki dalej wciąż się głodziły... Co dzień, co godzina sytuacja stawała się gorszą. Naraz jednego z siedzących, Iwana Kaluźnego, wzywają na widzenie z siostrą — również katorżanką — jedną z owych trzech, które rozpoczęły protest głodowy.

Komendant więzienia, podpułkownik żandarmski Masiukow, człowiek zupełnie bez charakteru, tchórz, były marszałek szlachty, absolutnie nie zdający sobie sprawy z tego, jak można i należy obchodzić się z więźniami politycznymi; zawsze wahający się, zawsze odzwierciadlający tylko to środowisko, w które go rzucał los, cynik wśród cyników, hulaka i rozrzutnik wśród ludzi odpowiedniej sfery, gdy strejk głodowy nagle wybuchł w więzieniu dla kobiet, stracił zupełnie głowę i idąc za poradą „starszego“ żandarma Gołubcowa, dla przerwania go postanowił użyć wpływu Kaluźnego na siostrę, a przez nią na inne uwięzione.

Niemal, że ze łzami w oczach opowiadał Masiukow Kaluźnemu o tym, co zaszło, przysięgał, że wiadomości, jakie doszły do więzienia dla kobiet, są przesadzone, że on jest niewinnym, że gotów to udowodnić, że wreszcie strejk głodowy nie może osiągnąć celu, że on jest gotów ustąpić z urzędu, ale na to trzeba czasu, a teraz wszelka zwłoka jest niebezpieczną, bo grozi życiu uwięzionych... przekonywał Kaluźnego, że powinien użyć swego wpływu i nieszczęśliwy ten strejk przerwać...

Kaluźnyj nie zgodził się na tę misję. Oznajmił komendantowi, że jego objaśnieniom nie daje wiary, że o wszystkim zakomunikuje towarzyszącej, że wreszcie dowie się od siostry o wszystkich szczegółach i o tym, o ile wiarygodnym jest źródło tych wiadomości. Marya Kaluźnaja potwierdziła wiadomości poprzednie. O szczegółach towarzyszącej dowiedziały się od jednego z najbardziej zasługujących na wiarę żan-

darmów, który już niejedną usługę wyświadczył uwięzionym.

Natychmiast po powrocie Kalużnego z widzenia z siostrą zebrali się uwięzieni na naradę w „Jakutce“. Gdyby uwięzione nie rozpoczęły strejku głodowego bez uprzedniego porozumienia się z nami i przez to umożliwiły nam w jednakowych warunkach z niemi protest rozpocząć i prowadzić, wówczas rozstrzygnięcie kwestyi byłoby bardzo łatwym. Gwałt nad Kowalską był zupełnie wystarczającym powodem do protestu. Ale tak, niestety, nie było. Trzeba było szukać innego wyjścia. Po długich a gorących debatach uchwalono, zażądać od komendanta widzenia bez świadków z znajdującymi się w wolnych komendach towarzyszami i polecić im przeprowadzenie śledztwa w całej tej sprawie; wysłać dwóch delegatów do więzienia dla kobiet i przy widzeniu się z nimi również bez świadków przekonać je, by protest przerwały aż do chwili zbadania całej tej sprawy.

Poczym, jeżeli śledztwo potwierdzi posiadane przez nie dane, rozpoczniemy wspólny protest, jeżeli zaś nie — cała ta sprawa zostanie umorzona.

Zbyteczne chyba dodawać, że widzenie z towarzyszami w wolnych komendach, zarówno jak z towarzyszkami w więzieniu są przez ustawę surowo wzbronione, a cóż dopiero mówić o postawieniu komendanta w stan oskarżenia i o przeprowadzeniu śledztwa dla wyświeatlenia jego przewinienia? A jednak komendant na wszystko bez żadnych zastrzeżeń się godził... Władze naczelne były daleko, prądu „wyższej“ polityki, w onym czasie agresywno-zaczepej nie ro-

zumiał, uwięzionych się bał, i zezwolił na niesłychane w dziejach zjawisko, by pozbawieni wszelkich praw stanu katorżnicy sprawowali sąd nad naczelnikiem więzienia, w którym się znajdują ...

Zakrawa to na bajkę, a jednak jest to najrzetelniejsza prawda.

I gdybyśmy w tym postawieniu komendanta w stan oskarżenia, w samym fakcie sądu nad nim mogli widzieć zadosyćczynienie, o, wówczas byłoby to wielkim tryumfem...

Już sam fakt prowadzenia śledztwa bardzo dodatnio wpłynął na nastrój, zwłaszcza, że i towarzyski zgodziły się na chwilowe przerwanie głodówki.

Ale ten nasz rzekomy tryumf trwał bardzo niedługo. Komendant zgadzając się na wszystkie warunki głośno oznajmiał, że jest zupełnie o swój los spokojny, że w zupełności nam ufa i bez zastrzeżeń się zdaje na nasz sąd. To obowiązywało. Na zasadzie zebranych danych mieliśmy wydać wyrok... „Pódsądny“ czekał na ten wyrok z zupełnym zaufaniem.

Uchwalając postanowienie o przeprowadzeniu śledztwa, braliśmy w rachubę dwie ewentualności: albo śledztwo potwierdzi poprzednie dane, albo je obali... Wydawało nam się wówczas, że „tertium non datur“ A jednak znalazło się to trzecie... Śledztwo nie dało żadnych wyników, badani bowiem dawali bądź wymijające, bądź sprzeczne odpowiedzi... Cóż było robić w takich warunkach? „Pozostawić w podejrzeniu“? — wzorem dawnych sądów sybirskich... Uniewinnić dla braku dowodów, czy wreszcie potępić?

Ale to jeszcze nie wszystko...

Wyroku czekał nie tylko komendant, oczekiwały go i towarzyszki, które posłuchały nas, zgodziły się przerwać głodówkę i czekać wyników śledztwa... Cóż im powiemy?

Znowu uwięzieni zebrali się na naradę. Jedni uważali, że sprawę należy umorzyć, gdyż komendant Masiukow przez samo zgodzenie się na śledztwo, przez stałe poniżanie się, już został dostatecznie ukarany... Ta grupa rachowała się tylko z wymaganiami sprawiedliwości, wszelką wątpliwość interpretowała na korzyść „podsądnego“, zapominając, że za plecami tego „podsądnego“ stoją bagnety, na których w każdej chwili ten „podsądny“ może się oprzeć...

Drudzy żądali wysłania oznajmienia generał-gubernatorowi i zarządowi żandarmskiemu z opisem tego, co zaszło podczas wywiezienia Kowalskiej i ze wskazaniem skutków, jakie pociąga za sobą pospieszne zarządzenie dla błahych powodów środków represyjnych. Ta grupa na razie chciała sprawę zostawić w zawieszeniu i uzależniała dalsze kroki od odpowiedzi władzy.

Pomimo najlepszych chęci z obydwu stron na razie do jednomyślnej decyzji nie doszło i nasi delegaci udali się do więzienia dla kobiet z dwiema decyzjami... Gdyby towarzyszki na jedną z nich się zgodziły, wówczas sytuacja byłaby łatwiejszą, ale one się nie zadowolniły żadną z uchwał i zastrzegły sobie swobodę postępowania...

Nie rokowało to nic dobrego. Już nazajutrz zawiadomiły nas, że posłały do rządu gubernijałnego

oznajmienie z żądaniem usunięcia komendanta Masiukowa z urzędu. Kowalewska w listach dodawała, że w razie odmowy, zamierza skierować protest przeciwko tej władzy, od której usunięcie Masiukowa zależy. Kaluznaja i Smirnickaja żadnych dodatkowych wyjaśnień nie dawały, ale nikt nie miał najmniejszej wątpliwości że i one nie pogodzą się z pozostawieniem Masiukowa na miejscu.

Była to decyzja zupełnie nie rachująca się z przebiegiem i wynikami śledztwa. Na nią uwięzieni mężczyźni, jako poniekąd inicjatorowie śledztwa zgodzić się nie mogli. Wobec tego na ponownym zebraniu postanowiono wysłać do zarządu żandarmskiego oznajmienie, w którym pomijając milczeniem kwestyę usunięcia Masiukowa, wyrażono nadzieję, że władza zbada całą tę sprawę, ukarze winnych i zarządzi środki, by na przyszłość podobne wypadki już nie mogły się zdarzyć.

Na dwa różne oznajmienia otrzymaliśmy dwie różne odpowiedzi. Towarzyszkom władze oznajmiały, że prawo usuwania urzędników z zajmowanych przez nich urzędów rząd sobie rezerwuje... Nas natomiast naczelnik zarządu żandarmskiego w Irkucku zawiadomił że przyjedzie na Karę i osobiście przeprowadzi śledztwo.

Dopiero znacznie później dowiedzieliśmy się, że zarówno zarząd gubernialny, jak i zarząd żandarmski nie ważyły się samodzielnie rozstrzygać sprawy i przesyłały nasze oznajmienia do departamentu policji. Położenie towarzyszek było nad wyraz przykre. Otrzymana przez nie odpowiedź, wyzywająca i obrażająca,

wymagała przystąpienia do natychmiastowego protestu. Z drugiej jednak strony protest ten wobec obiecanego nam przyjazdu naczelnika zarządu żandarmskiego dla przeprowadzenia śledztwa nie miał na razie najmniejszej racji... Nie łatwo było wobec tego niewiastom zdecydować się na czekanie... Zdecydowały się jednak. Już wówczas ciężkie było życie na Karze. Wogóle niema nic gorszego nad niepewność, nad wyczekiwania... Ale gdy się wyczekuje od władz rosyjskich decyzji, od której zależy nietylko spokój, ale honor i życie ludzi, jeżeli się jest nadto skazanym na bierne oczekiwanie; jeżeli się ma do czynienia z przeciwnikiem, który tym bardziej się rozzuchwala i znęca, im się jest bardziej słaby i skrępowany, o! wówczas żadna katorga, żadne ciężkie roboty nie mogą iść nawet w porównanie z tym piekłem, w jakim żyją więźniowie polityczni!

Stan psychiczny skazańców odbija się na ogólnym biegu życia więziennego i życie to zamiera. Więzień porzuca zwykłe zajęcia, chodzi i myśli... Myśli, czując całym swym jestestwem, że w tej samej celi piętnastu innych towarzyszy myśli o tym samym... A jednak rozmowa się nie klei... Każdy myśli z osobna, każdy zamyka się w sobie... Kto wie, może w myślach, w przewidywaniu wypadków każdy z osobna grzebie swe najdroższe marzenia...

Ale wszyscy marzą o jednym: niech będzie, co ma być, byle prędzej, byle już raz ten okropny stan przerwać...

„Prędzej!“ Próżne marzenia! Władzom w takich razach wcale się nie spieszy...

Naczelnik żandarmów przyjechał dopiero po pół roku. Może przypuszczał, że w ciągu tego czasu więźniowie się uspokoją... O jakże się w takim razie omylił! Po upływie pół roku już wszyscy żądali usunięcia Masiukowa... Był to jedyny sposób powrócenia do normalnego stanu.

Von Plotto, ów tak długo oczekiwany naczelnik Irkuckiego zarządu żandarmskiego, obiecał zadość uczynić temu żądaniu uwieczonych.

W więzieniu dla kobiet, gdzie stan był jeszcze gorszy, bo towarzyszki zastosowały względem Masiukowa zupełny bojkot, nie wpuszczając go do więzienia, ale przez to pozbawiając siebie otrzymywanych z domu pieniędzy, a nawet wiadomości o rodzicach, mężach, dzieciach wreszcie, von Plotto uroczyście obiecał usunąć Masiukowa z urzędu komendanta w ciągu trzech miesięcy.

Było to w lutym 1889 roku.

Znowu zaczęły się wyczekiwania długie, nieskończone. Znowu życie było jakby w zawieszeniu... Znowu liczono dni męcząco długie, a gorzkie i ciężkie... Miesiące wydawały się latami... Ale upłynął jeden miesiąc i drugi i trzeci, a Masiukow pozostawał dalej na urzędzie... Świadomie, czy nieświadomie — nie chcę tego rozstrzygać — władze ignorowały i stan duszy więźniów i ich żądania, jak gdyby nawet nie spostrzegając zmiany jaka w ciągu tego czasu w tych więźniach zaszła.

A zmiana ta była ogromna... Zdenerwowanie doszło do najwyższego stopnia, i w tych co chwila wybuchających nawet z błahego powodu ludziach trudno

było poznać dawnych, zrównoważonych, spokojnych więźniów...

Towarzyszki rozpoczęły nową głodówkę. Biernie, nie widząc innego wyjścia z sytuacji, przyłączyło się do nich całe więzienie męskie. Towarzyszki żądały usunięcia Masiukowa; myśmy niczego nie żądali... Głodziliśmy się, bo one się głodziły, bo przez to, że przyłączamy się do strejku, możemy przyspieszyć decyzje władz, wykonanie obietnicy, danej przez naczelnika żandarmów.

I znowu komendant, z rozkazu, czy z własnej inicjatywy — nie wiem — zaczął odgrywać komedię współczucia... Wywołał towarzysza-lekarsza do siebie do kancelaryj i wyrażał ubolewanie, że ludzie się głodzą; tłumaczył, że nie jest temu winien, że dawno już robi staranie o przeniesienie go na inny urząd, że lada chwila, niezależnie od tego, czy więźniowie się będą głodzili, czy nie, ma właśnie otrzymać odpowiedź na te starania od zarządu żandarmowskiego...

Argumenty te nie trafiły do przekonania uwięzionym.

I oto nazajutrz komendant wzywa starostę i oznajmia mu, że właśnie otrzymał z Irkucka oczekiwaną odpowiedź telegraficzną...

— Pokaż pan!

Pokazał. Adjutant naczelnika zarządu żandarmowskiego zawiadamiał go o nominacji rotmistrza Jakowlewa z Wiercholeńska na urząd komendanta Kary...

Rotmistrz żandarmów Jakowlew już poprzednio, w charakterze zastępcy, przez pewien czas spełniał ten

urząd i pozostawił po sobie na Karze najlepsze wspomnienia.

Uradowany z takiego obrotu rzeczy, starosta powrócił do więzienia... Tu to oznajmienie komendanta znalazło potwierdzenie w słowach dwóch nowoprzybyłych żandarmów, którzy opowiadali, że przyjechali z Wiercholeńska, że w chwili ich wyjazdu rotmistrz Jakowlew już wiedział o swej nominacji na komendanta i szykował się do wyjazdu...

Czyż po tym wszystkim mogliśmy mieć jakąkolwiek wątpliwość co do autentyczności tej urzędownie nam zakomunikowanej wiadomości? Natychmiast dano znać o wszystkim głodzącym się towarzyszkom i głódówka została zaniechana.

ROZDZIAŁ IV.

Wielki urok ma życie! Nawet skazany na dożywotnie więzienie czepia się go i chwyta, jak konający chwyta powietrze... Zaledwie przychylna odpowiedź władz na całoroczne niemal domagania się więźniów, została nareszcie wydarta, gdy już wszyscy znowu chwyтали całą piersią to nędzne życie więzienne...

I znowu w więzieniu zawrzało, jak w ulu... Korzystając z lata, więźniowie całe godziny spędzali na podwórzu więziennym, zabawiali się grą w rodzaju kręgli, urządzili gimnastykę i systematycznie nią się zajmowali.

Minął maj, czerwiec... Zbliżyła się chwila wielkiej rocznicy — stulecia wzięcia Bastylji... Tej chwili zburzenia symbolu tyraństwa Kara nie mogła nie świętować uroczyście. Ze szczupłych funduszków więziennych

wydzielono część środków na urządzenie tego dnia lepszego obiadu, więźniowie ubrali się odświętnie, nastrój zapanował uroczysty, a wspaniały chór w ciągu kilku godzin osładzał uwięzionym pobyt w dusznym więzieniu pieśniami wolności:

Vous avez pris l'Alsace et la Lorraine

Mais malgré vous nous resterons Français

brzmiały słowa pieśni.

Z jakim zapałem one były śpiewane! Jak więźni Alzatzycy na przekór Prusakom zaprzysięgali wierność ojczyźnie, której zostali pozbawieni, tak ci rzućeni na kraj świata do lochów więziennych rewolucyoniści temi słowy podobną przysięgę składali. „My piesniu swobody i w pytkach spojom!“ — „I na torturach pieśń wolności zaśpiewamy!“

Nikt w tej chwili nie przewidywał, że te słowa tak prędko się ciałem stać miały...

Dźwięki pieśni Karyjczyków ścigały na sąsiednie „sopki“ — pagórki — wielu słuchaczy zupełnie nie rozumiejących tego ożywienia „martwego domu“, gubiących się w domysłach, co mogło więźniów usposobić tak uroczyście, a wolny śpiew wolnych duchem ludzi po przez tajgę i góry, rzeki, jeziora i morza biegł do dalekiej Francyi, do wolnych duchem Francuzów, którzy przed wiekiem zdołali skruszyć więzy tyranji.

Cały świat tego dnia posyłał pozdrowienia wielkiej Francyi — wielkiej bojownicze o wolność, wątpię jednak, by gdziekolwiek te pozdrowienia miały tak wzniosły, tak szczery, a zarazem tak prosty w swej uroczystości charakter.

Dzień 14. lipca 1889 roku był niemal, ze ostatnim radosnym dniem na Karze... Mieliliśmy jeszcze w 1890 roku jedną uroczystość: uczciliśmy patriarchę rewolucyi rosyjskiej Piotra Ławrowa, ale już tego nastroju, co 14. lipca poprzedniego roku nie było. Mary zmarłych towarzyszy na zawsze nas tego nastroju pozbawiły...

Dzień upływał za dniem, a Masiukow zostawał na urzędzie...

Oszukano nas, w najniecieńszy sposób oszukano! Być może, że liczono na to, że czas ukoji nasze rany, że zapomnimy o swych żądaniach, o przyrzeczeniach rządu, że wreszcie sami będziemy radzi zapomnieć... O, jakże grubo się mylono!

Wytworzona sytuacja już dławić zaczynała. Wielu dochodziło do wniosku, że węzeł nie da się rozplątać, że trzeba go rozciąć. Wytworzyło się kółko ludzi, gotowych na wszystko, byle uwolnić więźniów od tego stanu.

Nie było to jednak łatwym... Chwiejny, poniżający się, tchórzliwy Masiukow rozbrajał. Jakże podnieść rękę na taką osobistość? I pomimo woli ręka ta się opuszczała bez względu na to, że każdy wiedział, iż za plecami tego tchórze sterczą bagnety, nahaże i różgi. Z tym jednak dalibyśmy sobie jeszcze radę. Był jednak inny szkopał, o który się rozbiły wszystkie nasze plany. Wszelki krok skierowany przeciwko Masiukowowi mógł się fatalnie odbić na całym więzieniu, bo zwykle postępek jednego więźnia ściąga zemstę władzy na wszystkich.

Był jeden sposób — dać policzek i otruć się... Śmierć rozbraja... Ale czy jeszcze kielich goryczy nie był przepelniony, czy wiara w możliwość wydobycia się z piekielnych murów więzienia i przyjęcia udziału w walce jeszcze nie wygasła, dosyć, że na ten krok się wówczas jeszcze nie ważono.

Dnie upływały. Już sierpień miał się ku końcowi. Najpiękniejsza na Syberyi pora roku — jesień — zalewała ponure podwórze więzienne morzem światła. Więźniowie wywabieni z dusznych cel tymi pożegnalnymi uśmiechami słońca, jak zwierzęta po klatce, kręcili się po podwórzu, a niektórzy przylgnęli do szpar w ogrodzeniu w nadziei, że może ujrzą jaką żywą istotę, nie należącą do świata więziennego.

Naraz ktoś krzyknął:

— Przywieźli kogoś!

Apatycznie spacerujący dotąd po podwórzu więźniowie rzucili się do pal, szukając szczelin, przez które mogliby zobaczyć, co się na zewnątrz dzieje.

Rzeczywiście. Kogoś przywieźli.

Obdarzeni lepszym wzrokiem wkrótce zakomunikowali, że przywieziono kobietę i poprowadzono do komendanta.

Po kilku minutach już w całym więzieniu wrzało. Opowiadano, że komendant wyskoczył przez okno, że przewiezioną natychmiast odprowadzono do „karaunki“ — niewielkiego zabudowania dla żołnierzy, — że coś się musiało stać.

Dar spostrzegawczy jest bardzo w więźniach rozwinięty, najmniejszy drobiazg nie ujdzie ich baczności,

najmniejszy szczegół wystarcza nieraz do odtworzenia obrazu rzeczywistości.

Poruszenie wśród uwięzionych nie da się opisać. Coś się stało. To coś mogło mieć decydujące dla nas wszystkich znaczenie, a przekłete ogrodzenie nie dawało w możności dowiedzenia się co...

Dopiero po kilku godzinach przez żołnierzy, żandarmów i kryminalistów, którzy przywozili wodę do więzienia, dowiedziano się, że jedna z niedawno przybyłych na Karę towarzyszek, Nadieżda Sígida, wybrała się do komendanta i, według jednych wersji dała mu policzek, mówiąc: „Oto masz zapłatę za Kowalską!“, według drugich — zagroziła mu policzkiem w razie jeżeli nie spisze protokołu, że został spoliczkowany.

Wszystkie te opowiadania, jak zwykle w takich razach, były bardzo mało wiarygodne, ale „poczta“ miała nadejść dopiero następnego dnia i czasowo musieliśmy się temi wersjami zadowolić.

Niestety, oczekiwana poczta została przełapaną, dzięki zdradzie jednego z tych, którym rząd nadał rangę „politycznych“. Tym zdrajcą był Stiepan Ossowski, o którym już wspominałem.

Tegoż samego dnia, kiedy więźniowie z taką gorączkową chciwością chwyтали wszelką wiadomość o Sígidzie, Ossowski udał się do komendanta w celu podania prośby o ułaskawienie, a chcąc go sobie zaskarbić i otrzymać zapomogę, wskazał, w jaki sposób więźniowie komunikują się z towarzyszami na wolności.

Komendant nie omieszkiał skorzystać z otrzymanej od Ossowskiego wskazówki i następnego dnia „po-

czta“ została przełapaną, a komunikacja z światem zewnętrznym na dłuższy czas przerwana.

Dopiero po czterech tygodniach dowiedzieliśmy się szczegółów o Sigidzie i o okropnej głodówce w więzieniu dla kobiet. Sigida, którą stosunkowo niedawno przywieziono na Karę, która zatym niemal, że wcale dotąd nie miała do czynienia z komendantem Masiukowem, nie знаła go, jako człowieka bez charakteru, tchórza, gnącego się przed wszelką siłą, nie miała tych skrupułów, jakie powstrzymywały wielu towarzyszy od czynnego wystąpienia przeciwko niemu. A że dla niej, z natury wrażliwej, atmosfera, jaka panowała w więzieniu, była nie do zniesienia, postanowiła poświęcić się dla ogółu i przez danie policzka komendantowi zmusić go do opuszczenia stanowiska.

Czy spoliczkowała Masiukowa, czy też groźbą spoliczkowania zmusiła go do spisania protokołu, że został spoliczkowany — niewiadomo dotąd.

Charakter jednak tej kobiety łagodnej, a wyrozumiałej, gotowej własne życie nieść w ofierze, ale zawsze bardzo ostrożnej względem życia i godności innych, pozostawia wielkie wątpliwości co do tego, zwłaszcza, że Masiukow o postępku Sigidy zawsze mówił bez wszelkiego rozdrażnienia i zawsze uporczywie twierdził, że nie został spoliczkowany.

Jest to prawdopodobne. Odpowiada to jej charakterowi, jak widać chociażby z faktu, jaki miał miejsce w czasie jej aresztowania w Tahanrogu.

Nie znaleziono wówczas pocisków wybuchowych, które zakopała w podwórzu. Okoliczność ta ją i męża

rzenie mu oczu i zawsze z największym uszanowaniem się o niej wyrażał...

Po tym wypadku Kowalewską natychmiast do innego więzienia przeniesiono. Nie zaniechała jednak głodówki, nie zaniechały jej i inne towarzyszki. Władze nie ustępowały. Dwunastego dnia głodówki od lekarza zażądano, by co dzień zawiadamiał drogą telegraficzną zarząd gubernialny o stanie zdrowia głodzących się. Trzynastego dnia lekarz zatelegrafował do gubernatora, że stan wszystkich głodzących się jest nader groźny. Czternastego dnia — że u jednej skontantował już owrzodzenie żołądka. Piętnastego — że zrzuca z siebie wszelką odpowiedzialność, gdyż każda chwila jest groźną... Władze w dalszym ciągu się łudziły, że towarzyszki same się ulękną śmierci i zaniechają głodówki... Nie ulękły się, nie zaniechały... Dopiero siedemnastego dnia, gdy już śmierć zawisła nad głodzącymi się — rząd uwzględnił żądanie i kazał przenieść Smirnicką i Kalużną do innego więzienia... Ale i tu bez okrucieństwa obejść się nie mógł. Kowalewską, znajdującą się w innym więzieniu „zapomniano“ zawiadomić o uwzględnieniu żądań i ona się dalej głodziła jeszcze w ciągu kilku dni, dopóki ostre ataki pomieszania zmysłów nie „przypomniały“ o niej władzom

Zdawaćby się mogło, że rząd po tej niebywałej głodówce, zaniecha dalszych kroków, obliczonych na zgębienie więźniów stanu... Bo pocóż w przeciwnym razie miał ustępować? Czyż towarzyszki swą głodówką nie dość jasno mu powtórzyły słowa Uhlanda:

„Sieh da, du stolzer Sieger,
Erzittre feiges Herz!
So löst man Eisenbanden!“

Czyż po tej głodówce mógł rachować na inne wyniki przedsięwziętych kroków?

Rząd jednak, nie zważając na zrobione ustępstwo, nie dawał za wygraną... Jak się zdaje, pragnął on sprowokować ostre wystąpienie, a nie bierny protest, chciał mieć pretekst do użycia broni, do odniesienia wielkiego zwycięstwa wojennego nad uwięzionymi... Inaczej przynajmniej przedsięwziętych przezeń wkrótce potym kroków wytłumaczyć sobie nie można.

ROZDZIAŁ V.

Więzienie męskie o całym tym okropnym proteście dowiedziało się dopiero po jego ukończeniu. Zdawało się, że nastąpi nareszcie chociażby spokój chwilowy.

Nie nastąpił... 24. października (5. listopada n. s.) 1889 r. komendant przysłał do nas do więzienia swego pisarza, podoficera żandarmeryi Pomiełowa z prośbą, byśmy się zebrali na korytarzu dla wysłuchania rozporządzenia generał-gubernatora Korfa... Nie podejrzewając nawet, jakie to może być rozporządzenie, wszyscy powychodzili z cel... W tej samej niemal chwili żandarmi pospiesznie opuszczone przez nas cele zamknęli... Nie rozumieliśmy tego dziwnego z ich strony kroku, ale na rozmyślanie nie mieliśmy już czasu, bo w tej samej chwili szeroko wrota więzienia się rozwarły i na podwórzu wkroczyło wojsko. Część żołnierzy otoczyła zabudowanie, w którym się znajdowała

kuchnia i łaźnia, inna część zajęła posterunki na podwórzu, z jakie trzydziestu żołnierzy wkroczyło na korytarz...

— Rozwozić będą do różnych więzień — szepnął stojący obok mnie Iwan Kaluźnyj...

Inni, widząc te przygotowania wojenne, posepnie milczeli...

To rozwożenie do różnych więzień już raz się odbywało na Karze... Na pół dzikie żołdactwo i kozacy rzucali się na więźniów, garściami wydzielali im włosy, bili, kopali... Miałożby to się znowu powtórzyć?

Instynktownie coraz cieśniej stawaliśmy obok siebie, jak gdyby szukając w tej zwartości naszych szeregow ratunku i oparcia...

Tymczasem na korytarz wkroczyło kilkunastu żandarmów z obnażonymi szablami i ustawiło się w dwa szeregi...

Wszystkie siły zbrojne caratu, znajdujące się na Karze, zostały zmobilizowane, brakło tylko „naczalstwa“, by siły te skierować „na wroga“... Ale po chwili wrota więzienne się znowu rozwarły i do więzienia wszedł komendant Masiukow w towarzystwie dwóch oficerów i, zajmwszy miejsce z tyłu ustawionych w szeregi żołnierzy i żandarmów, drżącym, często urywającym się głosem oznajmił:

— Otrzymałem od generał-gubernatora w zapieczętowanej kopercie rozporządzenie, które mam w obecności panów rozpieczętować i odczytać... — Pokazał, że pieczęcie są nienaruszone, rozerwał kopertę, wyjął ćwiartkę papieru i oddał ją do przeczytania jednemu z towarzyszących mu oficerów...

Grobowa cisza zapanowała na korytarzu. Wszyscy — i więźniowie i władze i żandarmi i nawet półdżicy kozacy — czuli, że za chwilę odczytanym zostanie coś takiego, co pozostawi krwawy ślad po sobie...

I przecucia te nie omyliły.

Rozporządzenie generał-gubernatora głęboko utkwilo w naszej pamięci. Przytaczam je, aczkolwiek tylko z pamięci, niemal dosłownie jednak: „Wobec stale powtarzających się zakłóceń porządku w więzieniach dla politycznych, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, polecam panu oznajmić uwięzionym, że na przyszłość za wszelkie zakłócenia dyscypliny więziennej będą oni, na równi z kryminalistami, karani chłostą. Gdyby uwięzieni stawiali opór przy zaaresztowaniu kogokolwiek z nich dla wykonania tej kary, polecam panu użyć siły zbrojnej, nie rachując się ze skutkami“.

Umilkł oficer. Przez chwilę panowała okropna cisza, rzekłbyś, że nawet wszyscy stojący przed nami oprawcy czuli całą ohydę odczytanego rozkazu i, zdając sobie sprawę ze stanu naszej duszy, nie śmieli zakłócić tej ciszy.

— Więcej nic — po długiej chwili wybełkotał Masiukow.

Oczywiście, że „więcej nic“... Cóż mogło — być więcej!

Zawstydzeni misyą, jaka im przypadła w udziale, oficerowie wyszli, a za nimi podążyli żandarmi i żołnierze, otworzono cele, ale przez długą chwilę nikt z nas się jeszcze z miejsca nie ruszał...

Cios był dobrze wymierzony... Rząd rozumiał, że przekracza Rubikon i obawiając się by więźniowie

na tę obelgę nie odpowiedzieli doraźnie, murem bagnetów swoich „czynowników“ odgradził od uwięzionych...

Decydując się na ten krok, rząd nie mógł nie pamiętać pierwszej próby zastosowania kary cielesnej do więźnia politycznego Bogolubowa, dokonanej jeszcze w 1878 roku przez Trepowa... Wówczas słynna odtąd rewolucjonistka Wiera Zasilicz odpowiedziała na to podeptanie godności więźnia politycznego wystrzałem do Trepowa, a sąd przysięgłych, któremu nieopatrnie rząd oddał do rozsądzenia tę sprawę, sprawczynię zamachu uznał za usprawiedliwioną. Jedenaście lat od tego czasu minęło... Na jedenaście lat starczyło nauki otrzymanej wówczas od Zasilicz i od sądu przysięgłych. Ale coraz bardziej panosząca się reakcja, świadoma uległości służalczej społeczeństwa, po jedenastu latach powracała do porzuconego systemu walki, do katowskiego oręża... To było nawet dla więźniów stanu, nie mających do rządów carskich żadnych złudzeń, niespodzianką oszałamiającą... Wobec tego cała przez rząd zarządzona mobilizacja była zupełnie zbyteczną. W pierwszej chwili ogłuszeni tem haniebnym rozporządzeniem, niemal że do żadnego czynnego protestu nie byliśmy zdolni. Dzień cały chodziliśmy jak oszołomieni... We wszystkich celach panowała ponura cisza... Czy kto jadł co tego dnia, czy kto spał tej nocy — nie wiem... Jedni leżeli milcząc na tapczanach, drudzy, bardziej nerwowi, latali jak opętani z kąta w kąt po celi...

Dopiero nazajutrz więźniowie wypowiadać się za-

czeli... Pierwszy, jak w zwykłe w takich razach, przemówił Bobochow...

Widziałem wielu rewolucjonistów podczas swej długoletniej tułaczki po świecie, ale rewolucjonistę, któryby tak jak Bobochow harmonizował i kojarzył słowo z czynem, któryby był tak wyrozumiałym i łagodnym względem innych, a surowym względem siebie, nie spotykałem nigdy... Ludowiec-anarchista, przeciwnik walki terrorystycznej, ubóstwiający niemal lud i jego instytucje i pokładający wszystkie swe nadzieje w tym ludzie, obrońca praw mniejszości, nawet poszczególnej jednostki, Bobochow w ciągu jedenastu lat pobytu na Karze pozostał wiernym sobie. Władze miały go za „okropnego“ terrorystę, bo, gdy wysłano go administracyjnie za propagandę wśród ludu do Archangielskiej gubernii, gdzie warunki bytu były niemożliwe, uciekł jeden z pierwszych i przy spotkaniu z pogonią wystrzelił w powietrze... Zbyt dumny, zbyt szanujący siebie, by się przed sądem wojennym tłumaczyć, nie powiedział, że ten wystrzał w powietrze miał na celu ściągnięcie uwagi społeczeństwa na warunki bytu wygnańców administracyjnych, i jako terrorysta został skazany za „zbrojny opór“ na 20 lat katorgi, i do tego terrorysty zapamiętane zwalczającego na Karze terrorystów, nie zastosowano ani jednego manifestu...

Pod jednym względem wszakże rząd się nie mylił. Większego wroga samodzierżawia na Karze nie miał i ilekroć powstawał jakiś protest Bobochow szedł w pierwszym szeregu. Szczupły, wątły, rozpoczynał protesty głodowe pierwszy, kończył ostatni... Fizycznie

słaby, gdy do walki przystępował, od razu jakby wyra-
stał i stawał się olbrzymem, od którego niemal że
wszyscy oczekiwali inicjatywy.

I tym razem w ciągu nocy Bobochow już zwa-
żył i ocenił sytuację i następnego dnia z samego rana
nakreślił plan działania...

Należy natychmiast napisać oznajmienie do mi-
nisterstwa spraw wewnętrznych i zażądać cofnięcia roz-
porządzenia w ciągu pięciu miesięcy, zaznaczając, że
w razie odmowy uwięzieni, by nie żyć pod groźbą
różgi, sami siebie życia pozbawią. Kopię tego oznaj-
mienia chciał Bobochow wydrukować we wszystkich
wydawnictwach rewolucyjnych i zagranicznych i przez
to cały świat ucywilizowany powołać na świadka na-
szej walki z caratem o godność człowieka.

Zwykle we wszystkich sprawach więziennych zga-
dzałem się z Bobochowem, który dla mnie miał urok
niezwykły. Tym razem jednak wydawało mi się, że
Bobochow błędną obrał drogę. Jako Polak intereso-
wałem się losami naszych poprzedników — powstań-
ców 31 i 63 roku, pamiętałem groźbę, rzuconą przez
władze sybirskie powstańcom z 31 r.

„Gdy tu dalej przeciw rządowi knować będziecie,
czeka was nie stryczek, nie kula, a batogi, którymi
was oćwiczyć każę“.

Pamiętałem również, jaką śmiercią zginął ksiądz
Sierociński... Uszeregowano żołnierzy, każdemu dano
szpicruty do ręki i temi smagać mieli nieszczęśliwego.

— Miserere mei, Deus, secundum magnam mi-
sericordiam Tuam — modlił się ksiądz, dopóki nie
padł trupem po otrzymaniu 6000 szpicrut.

Pamiętałem o tym... I nie mogła mię nie zdjąć obawa o losy Sigidy i Kowalewskiej, oskarżonych o obrażę czynną urzędników.

Przekonywałem Bobochowa, że należy natychmiast rozpocząć protest za pomocą samobójstw, kolejno po dwóch, co tydzień, rzucając losy, na kogo kolej wypadnie i w ten sposób zmusić rząd do cofnięcia rozporządzenia. Mój pogląd podzielał tylko zmarły niedawno w Odessie, były członek „Komitetu Wykonawczego“ w „Narodnej Woli“ — Spandoni.

Bobochow się nań nie zgadzał.

— Jesteś Polakiem — mówił — i wszędzie doszukujesz się murawiewszczyzny. Nie znasz Rosyi. Nawet rząd nigdy się nie odważy zastosować chłosty do kobiety. Ta groźba nie istnieje. Na takie rozpaczliwe środki mamy jeszcze czas.

Bobochow nie wierzył, by do kobiety poważono się zastosować chłostę, inni szli dalej. Byli pewni, że po wystrzale Wiary Zasulicz do nikogo z więźniów politycznych rząd tej kary nie zastosuje, że w samym oznajmieniu i odczytaniu rozporządzenia o chłościę rząd szuka satysfakcyi dla siebie za niedawną przegraną w sprawie z Masiukowem; że wobec tego nie należy żadnych oznajmień pisać, bo właśnie te oznajmienia mogą skłonić rząd do wykonania groźby dla utrzymania swej powagi. „Nie prowokujemy tego“ — dowodzili. „A jeżeli rząd zastosuje do kogo chłostę, wówczas bez wszelkich uprzednich oznajmień, umrzyjmy, o ile możności wszyscy.“

Pogląd ten nie rachował się z jednym, bodaj że najważniejszym motywem. Rozporządzenie generał-gu-

bernatora już jak miecz Damoklesa zawisło nad nam. Był to nowy czynnik, z którym nadal mieliśmy się rachować przy wszystkich wystąpieniach. Chęć nienarażenia siebie lub innych na taką poniżającą karę mogła skłonić nas do większych ustępstw, do większej uległości.

Tego dopuścić nie można było bez uchybienia sobie.

Nie łatwo było się zdecydować w tak ważnej, a skomplikowanej sprawie. Oddając życie każdy chciał najbardziej celowo je oddać.

Pogodziliśmy się wreszcie na wniosku Bobochowa. Pozostawało zredagowanie oznajmienia — naszego testamentu politycznego. Forma walki miała być tak niezwykłą, że najmniejsza nieścistość wyrażenia mogła nadać całej akcji tło melodramatyczne. My, żywi duchem, występowaliśmy do walki, wybierając najbardziej celową broń, a po naszej śmierci ktoś mógł ten cały protest interpretować, jako akt rozzpaczy. Na to nie mogliśmy pozwolić. To też zredagowanie oznajmienia zabrało nam wiele czasu.

Naraz, gdyśmy już dla uchwalenia ostatecznej redakcyi zebrać się mieli, doszły nas głuche wieści, że Sigidę już ukarano. Jeden z żołnierzy przyniósł tę wiadomość. Nie wierzyliśmy. Nie byliśmy w stanie, nie chcieliśmy temu wierzyć...

O, jaki okropny był to stan! Jedno słowo zewnątrz mogło rozwiać ten stan niepewności, a straż i mury więzienne tego właśnie słowa do nas nie przepuszczały.

Użyliśmy nadludzkich wysiłków, napisaliśmy do towarzyszy na wolności i zażądaliśmy natychmiastowej odpowiedzi.

Otrzymał ją nazajutrz... Była krótką... „Sigidę ukarano... Umarła... Kaluźnaja, Kowalewska, Smirnicka otruły się... Konają... Hecker (towarzysz, który się znajdował w t. zw. „wolnych komendach“) dwukrotnie strzelał do siebie... Ranny zdaje się lekko... Przeniesiono go do lazaretu...”

ROZDZIAŁ VII.

Było to więc prawdą... Mieliliśmy już wreszcie w rękę tę „upragnioną pewność“, a jednak chwilami nie dawaliśmy jej wiary... Według ustawy przed zastosowaniem do kogokolwiek bądź chłosty, lekarz powinien stwierdzić, że stan jego zdrowia dopuszcza tego rodzaju karę... Sigida była chorowitą... Miałżeby lekarz upodlić się do tego stopnia, że uląkł się zaprotestować przeciwko temu? Chłosta odbywa się w obecności lekarza... Miałżeby on być obecnym przy tym i swą obecnością uświęcić ten podły akt gwałtu?

W głowie się nam pomieścić nie mogło i dopiero wiele miesięcy potem dowiedzieliśmy się, jak to morderstwo zostało dokonany...

Rozkaz o wykonaniu chłosty został przesłany zarządzającemu katogą dla kryminalistów Homuleckiemu, ale i ten posiwały na służbie więziennej czynownik wdrygnął się, otrzymawszy ten rozkaz i zaczął szukać środków, by go nie wykonać... Zwrócił się do lekarza więziennego,.. Niemniej niż zarządzający katogą oburzony lekarz natychmiast napisał świadectwo,

w którym stwierdził, że stan zdrowia Sigidy wywołuje obawy, żeby w razie zastosowania do niej chłosty, nie umarła na atak sercowy...

Nie pomogło to... Nazajutrz przyjechał na Karę Bobrowskij, jeden z tych oprawców, którzy pastwili się nad Kowalską, gdy ją z rozkazu Korfa wywożono do Wierchnieudińska, i kazał przyprowadzić Sigidę do kancelaryi...

— Głupstwo! Wytrzyma! — orzekł Bobrowskij po przyprowadzeniu Sigidy.

Oburzony lekarz oznajmił, że nie będzie obecnym przy tym mordzie...

— Obejdzie się i bez pana...

Lekarz trzasnął drzwiami i wyszedł, przekonany, że wobec wyraźnego nakazu prawa, chłosta bez jego obecności nie będzie mogła być wykonaną...

Ale gdy idzie o zamordowanie więźnia politycznego, prawo milknie.

Sigidę ukarano... Wystarczyło świadectwo czynownika.

Półomdłą, nieprzytomną odprowadzono do więzienia kryminalnego, gdzie się znajdowały Kaluźnaja, Smirnicka i Kowalewska w jednej celi z kryminalistkami... W jednej chwili cela jak gdyby zamarła... Nawet kryminalistki poczuły, jaka zbrodnia została popełnioną.

Zasłoniwszy nary, na których leżały, szalami od oczu postronnych, towarzyski otoczyły Sigidę, robiąc daremne próby uspokojenia jej ukojenia...

— Mamo! dzieci!— jakby żegnając się po raz ostatni z matką, z małemi braciszkami i siostrzyczkami swemi — szeptała nieprzytomna Sigida...

Nazajutrz już nie żyła...

Niektórzy przypuszczają, że wstrząśnienie moralne jakiego doznała — spowodowało śmierć... Być może. Jest to jednak mało prawdopodobne... Podobno, w ciągu nocy Sigida miała chwile przytomności... Wątpliwym jest wobec tego, czyby czekała wyzwolenia przez śmierć naturalną, mogąc przez zażycie trucizny położyć kres swym męczarniom... Siedzące z nią towarzyszki posiadały truciznę... Gdyby zapragnęła, nie miałyby ani prawa, ani chęci jej odmówić...

Przepuszczenie, że umarła ze wstrząśnienia, opartym jest na oznajmieniu lekarza... W tym jednak wypadku z wielką ostrożnością do takiego oznajmienia odnieść się należy, bo tego rodzaju wersja broniła lekarza przed zarzutami władzy, że wydał świadectwo tendencyjne... W interesach lekarza leżało udowodnić: „uprzedzałem, że tak będzie, tak się też stało. Żadne uboczne względy mną nie powodowały...”

Być może, że po upływie 18 lat lekarz, który dotąd żyje, zechce odsłonić tajemnicę zgonu Sigidy... Dopiero wówczas można będzie mówić o tym, czy się otruła, czy umarła następnego dnia po chłóście... Pozostałe towarzyszki Kaluźnaja, Smirnicka, Kowalewska dopóki Sigida żyła, myślały tylko o niej, wyłącznie nią były zajęte i dopiero z chwilą jej skonu przystąpiły do protestu... Przygotowania były krótkie, trucizna była pod ręką... Uścisnęły się na pożegnanie i za-

żyły truciznę... Po kilku godzinach Kaluźnaja już była w agonii, Kowalewska, zachowując do ostatniej chwili przytomność, ciężko chora leżała na łóżku, a Smirnicka chwiejąc się na nogach, przechodziła od jednego łóżka do drugiego, żegnając jedną przyjaciółkę i podając wodę drugiej... Pod wieczór Kaluźnaja umarła. Dopiero wtedy Smirnicka się położyła.

Gdy Kowalewska znowu słabym głosem zawołała: „pić“ — już Smirnicka nie była w stanie podnieść głowy z postania.

Lekarz, który właśnie był nadszedł, chciał skorzystać z tej sposobności i podać Kowalewskiej antidotum w szklance...

Domyśliła się tego i odtrąciła szklanę...

— Gdybyś pan był porządnym człowiekiem, raczej zastrzyknałbyś mi truciznę, niż dawał antidotum..

Zawstydził się lekarz i odszedł... A nazajutrz z rana umarła Kowalewska, wieczorem zaś Smirnicka.

Szczegóły te zakomunikowano nam znacznie później, w owym zaś czasie wiedzieliśmy tylko to, co zawierał przytoczony przezemnie liścik.

Gdyby całe więzienie dało zgodę na proponowaną przez garstkę formę protestu, sprawa byłaby łatwą, zabarykadowalibyśmy wszystkie wyjścia, obleli naftą ściany i podpalilibyśmy więzienie wraz sobą. I kto wie, czy to nowe wydanie „pochodni Naroną“ nie oświeciłoby ciemni życia państwa carowego, czy od tego ognia nie stopniałaby skorupa obojętności, czy zakrzepłe serca nie zaczęłyby bić goręcej i czy ta ofiara żywcem ginących w płomieniach ludzi nie pchnęłaby najobojętniejszych do czynu...

Ale była to utopia... Jedni zmęczeni długoletnim więzieniem już do takiej ofiary nie byli zdolni, inni zasadniczo występowali przeciw takiej olbrzymiej ilości ofiar, jeszcze inni nie uznawali formy biernego protestu, nie rachując się zupełnie z tym, że w naszym położeniu o innej formie nie mogło być mowy, bo wszyscy stykający się z nami czynownicy byli tylko „knutami w rękę kata“, odbierającymi i wykonywującymi rozkazy „króla wielkiego samowładnika świata połowicy“, siedzącego daleko... „o pięćset mil na swej stolicy“.

Nie, o udziale wszystkich w proteście nie mogło być mowy... Ale zanim mieliśmy przystąpić do protestu, trzeba było koniecznie ustalić, ilu weźmie w nim udział i kto. I to nie było łatwym, bo jakże pytać ludzi, czy chcą umierać... Prowadzić agitację na rzecz samobójstw nie sposób... Można umierać samemu, ale powoływać do tego innych — trudno...

Garść tych, dla których ta sprawa już dawno była rozstrzygniętą i którzy już nieraz pomiędzy sobą ją omawiali, po naradzie, zwykłym zwyczajem na Karze puściła w obieg po celach następującą kartkę :

„Uprasza się towarzyszy, pragnących za pomocą samootrucia wyrazić protest przeciwko nikczemnej zbrodni, dokonanej na Sigidzie, by się zeszli w „Jakutce“ na naradę w kwestyi ostatniego listu do towarzyszy na wolności i oznajmienia do rządu. Dla ustalenia ilości protestujących w ten sposób uprasza się ich o podpisanie tej kartki“.

Podpisało ją 14: Preobrażeńskij ¹⁾, Adrian Michajłow ²⁾, Spandoni ³⁾, Bobochow ⁴⁾, Iwan Kaluźnyj ⁵⁾ Wołoszenko ⁶⁾, Lewczenko ⁷⁾, Sergiusz Dikowskij ⁸⁾.

¹⁾ Aleksy P.. student uniwersytetu Charkowskiego, był skazany w 1881 r. w Kijowie na karę śmierci, którą mu złagodzono na katogę 20-letnią. Wyszedł na osiedlenie w 1896 roku. Umarł w Irkucku w 1903 roku.

²⁾ Adryan M.. student uniwersytetu moskiewskiego, skazany w Petersburgu na karę śmierci za udział w zamachu na szefa żandarmów Mezencewa w 1880 roku. Po złagodzeniu wyroku otrzymał 20 lat katogi. Wyszedł na osiedlenie w 1896 roku. Po dziesięciu latach wpadł w Czycie w ręce ekspedycyi Renenkampfa i dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności „skazany“ został tylko na rok więzienia — Obecnie mieszka w Odessie.

³⁾ Afanasij S.. skazany w Petersburgu w procesie Figner w 1884 roku na 15 lat katogi. Wyszedł na osiedlenie w 1894 roku. Umarł w zeszłym roku w Odessie.

⁴⁾ Sergiusz B.. — patrz w tekście.

⁵⁾ Iwan K.. student uniwersytetu Charkowskiego, skazany w procesie Bohdanowicza i innych w Petersburgu w 1882 r. na 15 lat katogi, umarł podczas protestu z powodu Sigidy.

⁶⁾ Inocenty W.. student uniwersytetu odeskiego, skazany w Kijowie na 10 lat katogi w 1879 roku, za ucieczkę z więzienia w Irkucku, w drodze na Karę dodano mu jeszcze 11 lat ciężkich robót. W 1882 r. przewieziono go z Kary do twierdzy Petropawłowskiej, skąd na Karę powrócił w 1884 r. Wyszedł na osiedlenie w 1896 roku. Obecnie mieszka w Rosyi.

⁷⁾ Nikita L.. zecer, skazany w Kijowie na 15 lat katogi w 1890 r. przeniesiono go do więzienia w Akatju. Wyszedł na osiedlenie w 1895 roku. Obecnie mieszka w Rosyi.

⁸⁾ Sergiusz D.. student uniwersytetu odeskiego, skazany w 1880 roku w Kijowie na 20 lat katogi. Wyszedł na osiedlenie w 1892 r. Pozostał na Syberyi.

Pawło Iwanow ¹⁾, Kon ²⁾, Sękowski ³⁾, Paszkowski ⁴⁾, Majer ⁵⁾ i Nagornij ⁶⁾.

Tym razem redakcja listów do towarzyszy na wolności i oznajmienia do rządu nie zajęła dużo czasu Umierającym łatwiej jest sformułować swoje poglądy i żądania, niż pozostającym przy życiu... Dawniej stanowisko było przykre... Powołując towarzyszy na wol-

¹⁾ Pawło I.. student uniwersytetu kijowskiego, skazany w Kijowie w 1884 roku na 20 lat katorgi, za ucieczkę z Krasnojarska dodano mu 15 lat katorgi, za ucieczkę dokonaną już za Bajkałem dodano mu jeszcze 20 lat. Umarł w katordze w Ałgaczach.

²⁾ Feliks K.. skazany w sprawie „Proletaryatu“ na 10 lat 8 miesięcy katorgi. Wyrok złagodzono do 8-miu lat. Wyszedł na osiedlenie w 1891 roku. Powrócił do kraju w 1904 roku. W grudniu 1906 r. zaaresztowany w sprawie P. P. S. Wypuszczony za kaucyą. Obecnie mieszka w Galicyi

³⁾ Mikołaj S.. urzędnik akcyzy skazany w Petersburgu za zamach na ministra dworu Czerewina w 1881 r. na karę śmierci. Po złagodzeniu wyroku wyznaczono mu katorgę bezterminową. Otruł się w Akatuju, w rok po otruciach na Karze.

⁴⁾ Tytus P.. skazany w Petersburgu w 1887 r. w sprawie zamachu na Aleksandra III. na 10 lat katorgi, wyszedł na osiedlenie w 1893 roku. W następnym roku zastrzelił się.

⁵⁾ Samuel M. skazany w Odessie w 1883 roku na bezterminową katorgę, wyszedł na osiedlenie w 1899 r. Obecnie mieszka w Odessie.

⁶⁾ Józef N.. wolny słuchacz uniwersytetu petersburskiego, skazany w Petersburgu w 1881 roku na karę śmierci. Wyrok złagodzono i wyznaczono mu katorgę bezterminową. Dwa lata trzymano go w twierdzy petropawłowskiej, poczym wysłano go na Karę. W 1890 roku przeniesiono go do Akatuja, w 1894 roku do Zierentuja. Na osiedlenie wypuszczony w 1899 r. Pozostał na Syberyi.

Podpisało ją 14: Preobrażeńskij ¹⁾, Adrian Michajłow ²⁾, Spandoni ³⁾, Bobochow ⁴⁾, Iwan Kaluźnyj ⁵⁾ Wołoszenko ⁶⁾, Lewczenko ⁷⁾, Sergiusz Dikowski ⁸⁾.

¹⁾ Aleksy P.. student uniwersytetu Charkowskiego, był skazany w 1881 r. w Kijowie na karę śmierci, którą mu złagodzono na katogę 20-letnią. Wyszedł na osiedlenie w 1896 roku. Umarł w Irkucku w 1903 roku.

²⁾ Adryan M.. student uniwersytetu moskiewskiego, skazany w Petersburgu na karę śmierci za udział w zamachu na szefa żandarmów Mezencewa w 1880 roku. Po złagodzeniu wyroku otrzymał 20 lat katogi. Wyszedł na osiedlenie w 1896 roku. Po dziesięciu latach wpadł w Czycie w ręce ekspedycji Renenkampa i dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności „skazany“ został tylko na rok więzienia — Obecnie mieszka w Odessie.

³⁾ Afanasij S.. skazany w Petersburgu w procesie Figner w 1884 roku na 15 lat katogi. Wyszedł na osiedlenie w 1894 roku. Umarł w zeszłym roku w Odessie.

⁴⁾ Sergiusz B.. — patrz w tekście.

⁵⁾ Iwan K.. student uniwersytetu Charkowskiego, skazany w procesie Bohdanowicza i innych w Petersburgu w 1882 r. na 15 lat katogi, umarł podczas protestu z powodu Sigidy.

⁶⁾ Inocenty W.. student uniwersytetu odeskiego, skazany w Kijowie na 10 lat katogi w 1879 roku, za ucieczkę z więzienia w Irkucku, w drodze na Karę dodano mu jeszcze 11 lat ciężkich robót. W 1882 r. przewieziono go z Kary do twierdzy Petropawłowskiej, skąd na Karę powrócił w 1884 r. Wszedł na osiedlenie w 1896 roku. Obecnie mieszka w Rosyi.

⁷⁾ Nikita L.. zecer, skazany w Kijowie na 15 lat katogi w 1890 r. przeniesiono go do więzienia w Akatju. Wszedł na osiedlenie w 1895 roku. Obecnie mieszka w Rosyi.

⁸⁾ Sergiusz D.. student uniwersytetu odeskiego, skazany w 1880 roku w Kijowie na 20 lat katogi. Wszedł na osiedlenie w 1892 r. Pozostał na Syberyi.

Pawło Iwanow ¹⁾, Kon ²⁾, Sękowski ³⁾, Paszkowski ⁴⁾, Majer ⁵⁾ i Nagornyj ⁶⁾.

Tym razem redakcja listów do towarzyszy na wolności i oznajmienia do rządu nie zajęła dużo czasu Umierającym łatwiej jest sformułować swoje poglądy i żądania, niż pozostającym przy życiu... Dawniej stanowisko było przykre... Powołując towarzyszy na wol-

¹⁾ Pawło I.. student uniwersytetu kijowskiego, skazany w Kijowie w 1884 roku na 20 lat katorgi, za ucieczkę z Krasnojarska dodano mu 15 lat katorgi, za ucieczkę dokonaną już za Bajkałem dodano mu jeszcze 20 lat. Umarł w katordze w Ałgaczach.

²⁾ Feliks K.. skazany w sprawie „Proletaryatu“ na 10 lat 8 miesięcy katorgi. Wyrok złagodzono do 8-miu lat. Wyszedł na osiedlenie w 1891 roku. Powrócił do kraju w 1904 roku. W grudniu 1906 r. zaarrestowany w sprawie P. P. S. Wypuszczony za kaucyą. Obecnie mieszka w Galicyi

³⁾ Mikołaj S.. urzędnik akcyzy skazany w Petersburgu za zamach na ministra dworu Czerewina w 1881 r. na karę śmierci. Po złagodzeniu wyroku wyznaczono mu katorgę bezterminową. Otruł się w Akatuju, w rok po otruciach na Karze.

⁴⁾ Tytus P.. skazany w Petersburgu w 1887 r. w sprawie zamachu na Aleksandra III. na 10 lat katorgi, wyszedł na osiedlenie w 1893 roku. W następnym roku zastrzelił się.

⁵⁾ Samuel M. skazany w Odessie w 1883 roku na bezterminową katorgę, wyszedł na osiedlenie w 1899 r. Obecnie mieszka w Odessie.

⁶⁾ Józef N.. wolny słuchacz uniwersytetu petersburskiego, skazany w Petersburgu w 1881 roku na karę śmierci. Wyrok złagodzono i wyznaczono mu katorgę bezterminową. Dwa lata trzymano go w twierdzy petropawłowskiej, poczym wysłano go na Karę. W 1890 roku przeniesiono go do Akatuja, w 1894 roku do Zierentuja. Na osiedlenie wypuszczony w 1899 r. Pozostał na Syberyi.

ności do walki myśmy w listach mogli stwierdzić li tylko i swą g o t o w o ś ć do walki.. Zarządzona przez nich energiczna a celowa akcja mogła nas uchronić od śmierci.. I właśnie ten moment wytrącał pióro z ręki, bo piszący nie mogli nie odczuć, że czy tak, czy owak sformułują swoje poglądy, nie unikną tego, by poniżający ich godność rewolucyjną okrzyk: „ratunku! ratujcie!“ pomimo ich woli nie został odczytany pomiędzy wierszami...

Obecnie sytuacja się zmieniała. Rzucając przedewszystkim na szalę wypadków własne życie, myśmy dla siebie przez powołanie towarzyszy na wolności do walki niczego nie żądali. Nam już oni pomódz nie mogli. To nam rozkuwało usta, to sprawiło, że w ciągu pół godziny nasz testament był już zredagowany, podczas gdy przedtem w ciągu kilku dni ważyliśmy każde słowo...

Gdyśmy już z tym skończyli, jedni zajęli się przygotowaniem trucizny, a raczej podziałem na odpowiednie dozy, drudzy pisaniem ostatnich pożegnalnych listów do rodziców, krewnych, przyjaciół...

W więzieniu znowu zapanowała straszna cisza, przypominająca ciszę w mieszkaniu ciężko chorego... Tylko gdzieniegdzie po kątach słychać było zdławiony szepc...

W ten sposób żegnali się z sobą ludzie, którzy wiele lat na jednych tapczanach spędzili... Jedni, pozostający przy życiu, spowiadali się przed drugimi, którzy za kilka godzin mieli już nie żyć, z przyczyn powstrzymujących ich od wzięcia udziału... Była to spowiedź szczerą, nie skalaną żadnymi ubocznymi,

względami spowiedź, której tajemnicę umierający mieli wziąć z sobą do grobu... I ci drudzy pocieszali spowiadających się braci, widząc ich mękę i katusze...

Czas włókł się niemiłosiernie długo... Przed kontrolą wieczorną, przed zamknięciem cel i odniesieniem kluczy do komendanta, zażycie trucizny było ryzykowne... Dyżurujący na korytarzu żandarmi mogli się w porę spostrzedz, wezwać lekarza i gwałtem udaremnić nasze zamiary... Trzeba było czekać cały dzień. Czekać, gdy się widziało, że nerwy pozostających przy życiu mogą nie wytrzymać tego piekielnego napięcia i lada chwila może nastąpić coś takiego, co wywoła popłoch i zmusi do natychmiastowego zażycia trucizny bez jakichkolwiek szans na otrucie się... Obawy te nie były płonne... Mieliśmy pośród siebie ludzi umysłowo chorych. Ukryć przed nimi tego, co się działo, było nie sposób, bo w jednych z nami znajdowali się celach... A gdzież gwarancya, że ci ludzie w najlepszej wierze, chcąc nas uratować, nie zaalarmują władz?

Jeden z nich F—ow, już nawet przedsięwziął pewne kroki w tym kierunku i przekonywał i namawiał drugich, że należy o wszystkim zawiadomić władze i w ten sposób zapobiedz nieszczęściu... Inni, zdrowi na umyśle, powstrzymali go na szczęście od tego kroku. Ale każda godzina napięcia nerwów zwiększała niebezpieczeństwo...

O, chyba nigdy nikt z takim upragnieniem nie wyczekiwał kontroli, jak my tego dnia ...

Nadeszła wreszcie... Przypadliśmy do drzwi i przy-

słuchiwaliśmy się z biciem serca, czy w tej decydującej chwili, wszystko idzie pomyślnie...

Dziwne... Władze, te same władze, które w ciągu tych kilku dni wyniosły z zgniłego więzienia cztery trupy, tak były pewne, że jesteśmy izolowani od całego świata, że na nas żadnej uwagi nie zwracały... Przyszli, policzyli nas i poszli... Nie zdziwiło ich nawet, że ja i Pawło Iwanow nie nocujemy w swoich celach... Mieszkaliśmy obaj wówczas w „Dworiance“, — celi, w której oprócz nas, nikogo z trujących się nie było. Chcąc zaoszczędzić towarzyszom okrutnego widoku biernego przyglądania się nam w chwili zażywania trucizny, przeszliśmy obaj na noc do „Jakutki“, gdzie oprócz nas było jeszcze sześciu trujących się, i żandarmom oznajmiliśmy, że w „Jakutce“ zebrał się chór śpiewaków i dlatego tu przenocujemy... Przyjęli to do wiadomości i poszli...

I odrazu — jak gdyby wielki ciężar spadł nam z piersi... Już nam nie przeszkodzą. Według umowy, z „Jakutki“, gdzie nas było ośmiu, mieliśmy śpiewem dać sygnał pozostałym celom... Nie przewidzieliśmy, jakie to sprawi wrażenie na pozostających przy życiu. Każdy przełknął proszek opium i głośnie dźwięki wolnej pieśni wolnych ludzi uderzyły o sklepienia więzienia...

Naraz w jednej celi rozległy się głośnie łkania... Jeden z towarzyszy nie wytrzymał tych katuszy...

Dreszcz nas przeszył... Te łkania mogły wszystko zgubić...

— Głośnij chłopcy, głośnij! — krzyknął Pawło Iwanow.

Miał rację. Te łkania można było tylko zagłuszyć śpiewem. I znowu i znowu śpiewano...

Zaledwo uspokoił się nieco łkający towarzysz, gdy zawisło nad nami nowe niebezpieczeństwo. W sąsiedniej z „Jakutką“ celi powstał jakiś niezwykle ruch, bieganie, krzyki: „Aleksander Wasiljewicz!“

Ten „Aleksander Wasiljewicz“ — był lekarzem. Paniczny strach nas ogarnął... Wydało się nam, że towarzysze nie wytrzymali tej męki i że lekarz, towarzysz Prybylew, stosuje środki ratunkowe do trujących się... Zaczęliśmy nerwowo walić w ścianę sąsiedniej celi...

— Co się stało? Co się u was dzieje?

— Nic! nic! Uspokójcie się! — otrzymaliśmy odpowiedź od Michajłowa, który też należał do trujących się... Dejcz zupełnie przypadkowo się otruł i Prybylew daje mu antidotum. Niebezpieczeństwa żadnego nie ma.

Dejcz nie należał do tych 14-tu, którzy postanowili się otruć. Przeciwnie był on jednym z przeciwników protestu, otruł się przypadkowo chemikaliami, które używał do fotografii Stefanowicz, a które przylgęły do chleba i omal że nie przypłacił tego życiem.

Nie tracący do ostatniej chwili humoru Iwan Kałużnyj zażartował, że gdyby Dejcz umarł, zmusił by nas do kłamstwa, musielibyśmy bowiem zaliczyć go w poczet tych, którzy zażyli truciznę dla protestu, bo nie sposób wszak byłoby przyznać, że tak niemądrze zakończył swój żywot.

Ale ten względnie niezły, pozwalający na dowcipkowanie nastroj trwał niedługo. Minęła jedna go-

dzina, druga, a trucizna nie działała. Przeklęte więzienie mocno w swych szponach trzymało jeńców. Zdawało się, że nawet wyjście na tamten świat jest zamurowane.

Oprócz zażytego już opium, mieliśmy jeszcze w zapasie morfinę. Ale była ona schowaną. W celi jej bez narażenia na znalezienie przez żandarmów nie sposób było trzymać. I znowu trzeba było czekać rana, by ją wydostać, i wieczora, by jej użyć.

Trudno opisać stan naszej duszy. Na zasadzie doświadczenia, poprzedniego dnia, mieliśmy już pojęcie o tym, jakie nas nazajutrz czekają męczarnie. I rzeczywiście, towarzysze, którzy się nie truli, z uczuciem ulgi, powiedziałbym nawet — z zadowoleniem, powitali to nasze niepowodzenie i używali wszelkich argumentów, by nas od powtórzenia zamiaru odwieść. Nie piszę tego w celu zrobienia im zarzutu. Czyż mogli postąpić inaczej? Czyż mogli biernie przypatrywać się samobójstwu towarzyszy? Chcę tylko zaznaczyć, że im bardziej gorąco przekonywali, tem większy ból, większą mękę nam sprawiali. A jednak słuszność była po ich, a nie po naszej stronie, bo pod wpływem ich argumentów, pięciu towarzyszy zaniechało trućia się, a zatem nie miało tej wiary w konieczność tego środka, jaka jest niezbędną w takim proteście. Pozostało nas dziesięciu. Chwilami zdawało nam się, że ten dzień się nigdy nie skończy. Unikaliśmy towarzyszy, bo nerwy już nie były w stanie wytrzymać ani łez, ani ich błagań.

Nadeszła wreszcie upragniona kontrola. Cicho, bez śpiewu, pospiesznie, z jakąś goryczą zniecierpli-

wienia, zażyliśmy tym razem morfinę i po upływie 10 minut, już czuliśmy działanie trucizny. W głowie waliło jak młotem, zimny pot wystąpił na twarzy, w głowie się już myśli plątać zaczynały i nie do przeciężenia senność wszystkich ogarnęła. Uścisnęliśmy się po raz ostatni i bardziej słabi układać się do „wiecznego spoczynku“ już zaczęli... To przejście od stołu do tapczanu nie było już łatwym. Jak pijani już zataczaliśmy się i gdyby nie Mieczek Mańkowski, który ani na chwilę nas tej nocy nie opuszczał i każdego do tapczanu odprowadzał, wielu z nas runęłoby na ziemię.

Chwilę po tem już utraciłem przytomność. Gdym się po kilku godzinach na nowo zbudził, ujrzałem przeł sobą ze współczuciem uśmiechającego się do mnie Mieczka.

— Wszyscy śpią! Nikt nie umarł — szepnął Mańkowski.

Dopiero wtedy oprzytomniałem.

I morfina nie działa! Straszne uczucie bezsilności i niemocy opanowało mną. Zerwałem się z posłania, opierając się na ramieniu Mieczka, doszedłem do stołu, gdzie leżały zapasowe proszki morfiny i zażyłem drugą dawkę.

Chwilę potem już znowu byłem nieprzytomny i biedny Mieczek niemal, że na rękę odniósł mnie na posłanie.

Po raz drugi obudziłem się dopiero nad ranem od straszego, przedśmiertnego chrapania Bobochowa. Gdym otworzył oczy, ujrzałem przed sobą towarzysza lekarza. Oprzytomniałem od razu.

— Co ty tu robisz?

Siedział w innej celi. Obecność jego nie mogła mnie nie zadziwić.

— Nic, nic — badawczo wpatrując się w moje źrenice — odpowiedział Prybylew. — Jak się czujesz ?

— Żyję — odpowiedziałem z rozpaczą. — A inni ?
Łzy mu się kręciły w oczach... Przez chwilę nie odpowiadał, potem szepnął :

Bobochow i Wańka (Kaluźnyj) konają... Żandarmi już wiedzą...

W owej chwili zrozumieć nie mogłem, dlaczego Bobochow i Kaluźnyj umarli, a my wszyscy pozostaliśmy przy życiu.

Okazało się, że po mojem pierwszym przebudzeniu się, obudzili się Kaluźnyj, Bobochow, Sękowski i Iwanow... Sękowski i Iwanow, tak, jak i ja, przełknęli drugą dawkę trucizny i usnęli na nowo, a dla Bobochowa i Kaluźnego, już podzielonej na odpowiednie dawki trucizny, nie starczyło. Wiedząc, że resztki morfiny były schowane pomiędzy cegłami w szklanym słoiku na piecu, wdrapali się na piec, wydostali słoik i zjedli całą zawartość... Tylko w tak straszny sposób udało im się skutecznie samobójstwo...

Wiadomość, że żandarmi już wiedzą o wszystkim, magicznie podziałała na wszystkich, którzy się w tym czasie obudzili... Lada chwila mógł lekarz więzienny pospieszyć z nieproszoną pomocą. By uniknąć tego, zerwaliśmy się z posłania i przy pomocy towarzyszy przeszli do innych cel... Nadzieja, że jeszcze nie wszystko przepadło, jeszcze w nas tliła. Zażyta w większej ilości morfina podziałała paraliżująco na pęcherz moczowy... Łudziliśmy się nadzieją że to spo-

woduje zatrucie... Ale już nazajutrz i ten promyk nadziei zgasł bezpowrotnie...

Wówczas stanęło przed nami straszne pytanie: co dalej? Śmierć towarzyszy już sama przez się stała się czynnikiem pobudzającym do powtórzenia samobójstwa, natomiast motywy tego okropnego protestu nakazywały powstrzymanie się na pewien czas od tego straszego kroku. Zdawaliśmy sobie jasno sprawę z sytuacji. Rząd się przerachował... Myślał, że wystąpienia czynne z naszej strony dadzą mu pretekst do użycia siły i do zmasakrowania nas... Ale cóż pocznie na to „Ave Caesar, morituri te salutant“?

I znowu o naradzeniu się w szerszym kole towarzyszy, o wzajemnym oddziaływaniu na siebie w kierunku powtórzenia samobójstwa — nie mogło być mowy. Każdy zrozumiał, że wypadki mogły osłabić wolę ludzi, że zachęcać do samobójstw — nie sposób... To też tylko bliżej żyjący z sobą dzielili się pomiędzy sobą myślami i wrażeniami, informując się wzajemnie o powziętej decyzji. Trzech z nas: Adrian Michajłow, Sergiusz Dikowski i ja, po głębokim namyśle i zważeniu sił, doszło do wniosku, że śmierć towarzyszy ujawniła przed całym światem nasz stosunek do chłosty, którą nam grożono... Rząd już dziś nie może tłumaczyć się nieświadomością. Gdyby jednak i nadal swego rozporządzenia nie cofnął, protest powinien być powtórzony... Kwestya terminu, kiedy ma nastąpić to powtórzenie, była jeszcze w projekcie Bobochowa zadecydowaną. Kolej syberyjskiej jeszcze wówczas nie było. Komunikacya pomiędzy Karą, a Patersburgiem była utrudnioną: zwykłe listy

szły 6 — 8 tygodni. Dla otrzymania odpowiedzi z Petersburga trzeba było czekać niemniej, niż 4 miesiące. To skłoniło swego czasu Bobochowa do wyznaczenia 5-cio miesięcznego terminu. Termin ten postanowiliśmy utrzymać, a po upływie tego terminu Dikowski i ja mieliśmy się otruć... W dwa tygodnie po nas miał to samo zrobić Adrijan Michajłow..

ROZDZIAŁ VIII.

Nadzwyczaj charakterystycznym było postępowanie władz, zarówno miejscowej, jak i gubernialnej, po tych strasznych zajściach...

Zwłoki zmarłych towarzyszy jeszcze się znajdowały w celi, gdy do więzienia wkroczyli żołnierze i stanęli przed drzwiami każdej celi, poczem wszedł komendant Masiukow również w otoczeniu wojska...

Wywołało to wśród uwięzionych pewne poruszenie, znowu myśl o rozwożeniu do różnych więzień błysnęła w głowach wielu, niektórych oburzyło to otaczanie się żołnierzami...

— To nie ja... Taki otrzymałem rozkaz — tłumaczył się Masiukow.

Okazało się, że mu rozkazano również odebrać nam apteczkę...

Biurokracja pozostała wierną sobie... Całe zło tkwiło w apteczce...

— Dopóki rozporządzenie nie będzie cofniętem, samobójstwa nie ustaną — zdenerwowany do ostatniego stopnia krzyknął komendantowi Mańkowski... Odebranie apteczki nic temu nie zaradzi.

Masiukow znowu powołał się na rozkaz, klnąc się i zapewniając, że on temu wszystkiemu nie winien, że to tylko okoliczności się tak nieszczęśliwie zbiegły.

Nikt mu nie odpowiedział.

Apteczkę zabrano i komendant wraz z żołnierzami opuścił więzienie i tegoż dnia, o ile mu można wierzyć, wysłał depeszę do departamentu policji z zawiadomieniem o otruciach, w której powtórzył słowa Mańkowskiego „dopóki rozporządzenie nie będzie cofniętem, dopóty samobójstwa nie ustaną!“

Nazajutrz przybył naczelnik irkuckiego zarządu żandarmskiego Plotto i wiceprokurator z Czyty. Znowu zmobilizowano wszystkie siły zbrojne i w ich otoczeniu władze weszły do więzienia. Większość uwięzionych w żadne rozmowy się z nią nie wdawała, kilku jednak zbyt było podnieconych, by milczeniem okazać swą wzgardę i namiętnie napadło na rozporządzenie Korfa. Plotto i wiceprokurator odpowiedzieli ogólnikami. Ale zbrodnia była zbyt uderzającą, formy prawne były zbyt jawnie podeptane, by jakotako uczciwy przedstawiciel sądownictwa, mógł zachować się zupełnie obojętnie. Wiceprokurator też podobno — tak nam zresztą zakomunikowali z wolności — zdumiony tym niesłychanym bezprawiem, wszczął sprawę o ukaranie Sigidy wbrew opinii lekarza, ale na rozkaz z Petersburga sprawę umorzono, a zbyt naiwnego prokuratora usunięto z Kary. Bardziej niezależny naczelnik żandarmów wolał tylko o wszystkim pokornie zameldować departamentowi policji i stamtąd czekać wskazówek, niż narażać na szwank karierę. Odwiedził nas, napisał „bumagę“ i odjechał. Z punktu widzenia biu-

rokraty było to wszystko, co mógł i powinien był uczynić. Być może zresztą, że uczynił jeszcze „coś”, więcej, bo dnia następnego Masiukow i żandarmi w obecności oficerów i żołnierzy dokonywali w całym więzieniu rewizyi. Jako trofea zabrali kilka miesięczników legalnych, dla nas wszakże zakazanych. Zwykła historia. Gdyby szukano trucizny, rewolwerów, noży wreszcie, byłoby to zrozumiałem, ale jaki związek mogły mieć wydawane legalnie miesięczniki z otruciem — tylko biurokrata zrozumieć jest w stanie.

Kilka dni po tem przyjechał na Karę gubernator z Czyty, Choroszchin. „Dopóki piorun nie uderzy chłop się nie przeżegna” — mówi przysłowie rosyjskie. Przed trzema tygodniami cała ta hałastra czynownicza pisała rozporządzenia, posyłała ludzi, zarządzała środki. I o to cel został osiągnięty. Politycznych zrównano z kryminalistami, zastosowano do nich chłostę. Kilku otruło się? Umarło? Czy to nie było do przewidzenia? Więc czemuż teraz zamiast wznieść śpiew tryumfu „grom победы razdawajsia“, ci sami oprawcy, bo dokonaniu uplanowanego krwawego czynu, śpieszą jeden po drugim na Karę? Jedno z dwojga. Albo zbrodnia dokonana była na zasadzie prawa i wówczas — dura lex, sed lex — należało się godzić ze skutkami, albo było to bezprawie, a w takim razie po cóż było to robić? Ale biurokracya rosyjska tem właśnie się odznacza, że pragnie według wyrażenia Szczedryna i niewinność zachować i kapitału się dorobić, dopuszcza się najohydniejszych czynów, a chciałaby zachować opinię najbardziej ludzkiej władzy, na wzór owego policmajstra mickiewiczowskiego

który, gdy dziecko ciężaru kajdan udźwignąć nie mogło, sam łańcuch oglądał i stwierdził, że „zgadza się z przepisaną wagą“.

Nie łatwą była rola gubernatora. Miał przed sobą ludzi, którzy żadnych żądań nie stawiali, „buntów“ nie czynili, przeciwnie samych siebie skazywali na zagładę. A jednak ta ich śmierć, w więzieniu schowanym wśród gór, gdzieś na końcu świata, była gorszą od buntu, nabierała rozgłosu i zrywała z twarzy dzikich barbarzyńców maskę europejczyków.

ROZDZIAŁ IX.

Trzeba było się zdecydować na jedno: albo cofnąć rozporządzenie i w ten sposób położyć kres dalszym samobójstwom, albo nie zwracać na nie uwagi, nie liczyć się ani z ofiarami, ani z opinią i rozporządzenia nie cofać. Zdawałoby się, że trzeciego wyjścia nie ma. Choroszchin znalazł jednak trzecie wyjście.

Znowu zgromadzono nas na korytarzu, dla wysłuchania gubernatora.

Już pierwsze słowa, jakie z jego ust padły, żadnej nie przedstawiały wątpliwości, że otrzymał on rozkaz uspokojenia więźniów, ale bez uchybienia powadze rządu. Rząd się może cofać, ale przyznać się do tego nie wolno.

Gubernator zaczął od oznajmienia, że „będąc przypadkowo na Karze“, korzysta z tej okazji, by wyjaśnić niektóre kwestye, źle przez nas zrozumiane. Było to conajmniej niemądre. Wszyscyśmy dobrze wiedzieli o tym, że gubernator łże, że przyjechał na

Karę wyłącznie z powodu zaszłych wypadków. Już samo zaznaczenie tej przypadkowości na początku mowy — jak gdyby kto pytał o to — wyraźnie świadczyło, że gubernator obawia się, by więźniowie nie przypuszczali, że rząd się uląkł. Rząd by się miał lękać? To myśmy się niepotrzebnie przestraszyli... Według słów gubernatora, nikt nigdy nie miał na myśli nas napastować, godzić na naszą godność. Rząd dba o życie ludzi, dba i troszczy się o nasze życie. Pod tym względem nasze obawy są zupełnie bez podstawy. Nie znaczy to wcale, żeby odczytane nam rozporządzenie miało być cofnięte. O, nie! Nie generał-gubernator i nie gubernator wydał to rozporządzenie. Pochodzi ono z najwyższego źródła i cofnięciem być nie może. Rząd musi się bronić, musi bronić swych urzędników przed takimi aktami, jak ten, jakiego dopuściła się Sigida.

Porzućcie nieuzasadnione obawy — kilkakrotnie powtarzał Choroszchin w ciągu mowy.

Faktycznie było to cofnięciem się, bo według dosłownego brzmienia odczytanego rozporządzenia, mieliśmy ulegać chłości za wszelkie zakłócenie dyscypliny więziennej, ze słów zaś Choroszchina wynikało, że kara taka grozi nam tylko w wypadkach wyjątkowych, jeżeli ktoś z nas czynnie zelży kogoś z urzędników.

— Może kto pragnie zadać jakie pytanie? — zapytał Choroszchin po ukończeniu mowy.

Grobowe milczenie. Z oprawcami nikt w rozmowę się nie chciał wdawać. Nie zrozumiał tego mil-

czenia gubernator. Powtórzył znowu pytanie. I znowu taka sama odpowiedź.

— Spędzę tu jeszcze kilka dni. Może kto się namyśli i zechce otrzymać wyjaśnienie, niech przez komendanta da mi znać.

Nikt nie chciał. To psuło szyki gubernatorowi. W rozmowie daleko więcej można wypowiedzieć, daleko bardziej złagodzić, niż w oficjalnej przemowie. Wreszcie z rozmowy można wysnuć wnioski o prawdopodobieństwie powtórzenia protestu. A tu nic... nic...

By wyjść z przykrego położenia gubernator nakazał komendantowi przeprowadzenie śledztwa. Postawiono dwa pytania: jaką trucizną się otruto i skąd ją wzięto. Do śledztwa pociągnięto tylko pięciu: Iwanowa, Lewczenko, Sergiusza Dikowskiego, Sękowskiego i mnie, których żandarmi spostrzegli, w chwili gdy dla uniknięcia spotkania z lekarzem, przechodzili z „Jakutki“ do innych cel. Na te pytania odmówiliśmy odpowiedzi. Dopiero wówczas dodano trzecie pytanie: jakie były powody otrucia się. Mieliśmy obawy że rząd zechce sobie objaśniać wybuch tak ostrego protestu tym, że chłódzie uległa kobieta, a nie wogóle więzień polityczny. Chcieliśmy wreszcie, by władze centralne, które z Petersburga całą tą akcją kierowały, zdawały sobie jasno sprawę z tego, że mamy ich za zwykłych morderców, i że nie mogą czynnie przeciw nim wystąpić, rzucamy im w twarz swe życie. To właśnie napisaliśmy w zeznaniach: Mord dokonany na Sigidzie był z góry uplanowany. Gdybyśmy byli wolni, rząd by się nie odważył na ten mord wiedząc, że odpowiemy tak, jak Wiara Zasulicz, z bro-

nią w rękę. Świadomość bezkarności dodała mu odwagi. Ale omylił się. W Rosyi są jeszcze rewolucyoniści, którzy dowiedziawszy się o zbrodni rządu, o śmierci Sigidy, o naszym proteście, odpowiedzą mu tak, jak na to zasługuje i jak na rewolucyonistów przystało.

Masiukow czytając te zeznania, drżał jak w febrze. Co powie Choroschin? — jęczał.

Choroszchin kazał mu zażądać od nas innych zeznań. Odmówiliśmy. Nie mając innego materiału w tej sprawie, musiał odesłać te zeznania do Petersburga.

ROZDZIAŁ X.

Odjechał gubernator. Kilka dni ciągnęły się jeszcze rozmowy o jego wizycie, a potem wszystko na pozór powróciło do normy. Ale tylko na pozór. W rzeczywistości całe życie uległo zmianie. Więzienie dawniej jednolite podzieliło się na dwa nierówne obozy. Jeden wielki obóz, tych, co dla tych, lub innych powodów, nie brali udziału w otruciu; drugi — garstka osób, które ubiegły protest wyodrębnił od reszty. I jedna i druga strona tęskniły od dawnego stanu, pragnęły go całą duszą, marzyły o nim. Ale ta spowiedź jaka się odbywała przed otruciami, udaremniała wszystkie dążenia. Spowiadano się przed umierającymi... Któż mógł przypuszczać, że pozostaną przy życiu i będą panami jak najbardziej ukrytych od wzroku obcych, postronnych ludzi drgnień duszy? Najniewinniejsze słowo, ruch, giest przez zrozumiałą nadwra-

żliwość, tłumaczono sobie opacznie i wzajemna nieufność wzrastała.

Gdy dziś przypominam sobie te chwile, cisną mi się do głowy słowa wieszczki:

- „Kiedy na żale ten świat nie ma ucha,
- „Gdy ich co chwila nowina przeraża
- „Bijąca z Polski, jako dzwon z cmentarza;
- „Gdy im prędkiego zgonu życzą strażę,
- „Wrogi ich wabią z dala, jak grabarze.
- „Gdy w niebie nawet nadziei nie widzą
- „Nie dziw, że ludzi i świat sobie brzydzą,
- „Że utraciwszy rozum w mękach długich
- „Plwają na siebie i żrą jedni drugich...

Okropny to był stan, co ważniejsza beznadziejny. Tylko jakieś niezwykle zdarzenie mogło przywrócić dawną harmoniję, dawną, tak potrzebną i tak upragnioną zgodę.

Takim niezwykle zdarzeniem była dla ogółu więźniów wiadomość, że garść ludzi nosi się z myślą powtórzenia samobójstwa.

Nauczeni gorzkim poprzednim doświadczeniem kiedyśmy we trzech — Michajłow, S. Dikowskij i ja postanowili po upływie pięciu miesięcy znowu rozpocząć samootrucia — zadecydowaliśmy nie wspominać o tym nikomu, by zaoszczędzić towarzyszom męczarni. Według omówionego wówczas przez nas planu, z początku się miałem otruć tylko ja i Dikowskij, a po upływie 2 tygodni po nas Adrian Michajłow. On miał też być wykonawcą naszej ostatniej woli i zakomunikować towarzyszom o wszystkim już po zażyciu przez nas trucizny.

Od chwili powzięcia tej decyzji, związani z sobą taką tajemnicą, często szeptaliśmy pomiędzy sobą po kątach. Brano nam to za złe, nie wiedząc, nie podejrzewając nawet, co przed nimi taimy.

Dziwnego wówczas doznawaliśmy uczucia. Łatwo zdecydować się na śmierć za pięć miesięcy, ale nie łatwo to wykonać, gdy się nie żyło jeszcze wcale, gdy dusza rwie się do życia, do czynu, do walki. Podczas pierwszych dwu miesięcy tylko czasami i to przypadkiem wspomina się o tej śmierci. Niekiedy łapie się samego siebie na gorącym uczynku marzeń o przeszłości. Z biegiem czasu jednak wszystko przypomina o wiszącym nad głową dobrowolnym wyroku. Gdy się otrzymuje list od matki, w mózgu świdruje myśl, że już więcej jak 12 — 15 listów się nie otrzyma.

Gdy następuje kolej dyżurowania w kuchni — znowu się oblicza... Przedostatnia to kolej... Ostatnia... Gdy który z towarzyszy bardziej ostre słowo w sprzeczce wypowie, odpowiedź zamiera na ustach, zabita myślą, że za kilka tygodni po naszej śmierci, to ostre słowo stanie się dlań przedmiotem wyrzutów sumienia. W miarę tego, jak czas coraz bardziej upływa, myśl o śmierci opanowuje coraz więcej... Co raz częściej robi się rachunek tego życia... Względnie najłatwiejszym do przeżycia jest ostatni miesiąc... Kryjąca się gdzieś w tajnikach duszy nadzieja, odpychana jak myśl zbrodnicza — zanika. To, co było gdzieś daleko w zamglonej przyszłości, coraz bardziej wyłania się z chaosu występuje na jaw, staje się realnym... Zaczynają się praktyczne przystosowywania do tego czynu, myśl się skupia na nim, całe jestestwo człowieka wypełnia świa-

domość konieczności tego aktu... Pierzchają czcze oczekiwania... Psychologia walki wypiera gnuśny stan bezczynności. Mniej się myśli o śmierci, więcej o jej wykonaniu,

Inną była z konieczności psychologia Adriana Michajłowa... On miał się otruć dopiero dwa tygodnie po nas. Nasza śmierć mogła go uratować. Rząd mógł cofnąć swe rozporządzenie, i wówczas śmierć jego byłaby zbytęzną. Myśmy rozstrzygali tylko za siebie, on wtajemniczony we wszystko, rozstrzygał poniekąd i za nas. Tydzień przed oznaczonym terminem Michajłow zawahał się... „Albo otrujmy się wszyscy trzej, albo należy wtajemniczyć wszystkich uczestników listopadowego protestu, bo inaczej po waszej śmierci do mnie żal będą mieli, będą mi robić wyrzuty, żem was od tego kroku nie powstrzymał, że oni by was od niego odwiedli“... Męczyło go to... Nalegał i prosił, by zwolnić go od tej okropnej odpowiedzialności.

Nie mogliśmy mu tego odmówić i przyzwoliliśmy na wtajemniczenie z zastrzeżeniem jaknajwiększej tajemnicy tylko i wyłącznie uczestników listopadowego protestu. Wiedzieliśmy, że wiadomość ta sprawi na nich wrażenie piorunujące, ale pomimo to ani na chwilę nie przypuszczaliśmy tego popłochu, jaki ona wywołała.

Było to dnia 13 kwietnia, st. st. — dzień przed wyznaczonym terminem... Michajłow każdego z osobna zawiadomił o naszej decyzji... Jedni uważali to za waryację, drudzy jak szaleni biegali po więzieniu, nie wiedząc, co począć, czy przystąpić wraz z nami do protestu, czy też namawiać nas, byśmy odstąpili odeń;

jeszcze inni prosili o dzień zwłoki, by się zorientować... „Być może, że się zgodzimy na Wasz plan — mówili — i rzucimy losy, co do kolei otrucia się!“ Zastrzegłszy sobie pierwszeństwo, pomimo wszelkiej kolei, zgodziliśmy się na ten dzień zwłoki.

Niespodzianie jednakowoż wypadki, nieoczekiwany wzięły obrót. Pawło Iwanow nie dotrzymał tajemnicy. Oszołomiony rozmową z Michajłowem, wpadł do celi i oznajmił: „Dziś dwóch ludzi chce powtórzyć protest listopadowy... Zakomunikowano mi to w tajemnicy, ale nie mogę jej dotrzymać... Może ktoś z Was ich przekona i uratuje...“

Cała nasza pięciomiesięczna konspiracja odrazu runęła. W więzieniu działo się coś okropnego... Jeden z moich najbliższych przyjaciół w ciągu godziny męczył mię, kreśląc obraz rozpaczki matki, gdy się dowie o mojej śmierci. Były to okropne katusze, których nam nie szczędzono „dla naszego dobra“, chcąc nas uratować...

Męczyło to nas, ale od czynu, przemyślanego w ciągu pięciu miesięcy, odwieść nie mogło.

Kontrola wieczorowa przerwała te katusze. Nazajutrz rano, gdy żandarmi przyszli na ranną kontrolę, Pawło Iwanow oznajmił „starszemu“ żandarmowi, że pragnie pomówić z komendantem. Dowiedzieliśmy się o tym przypadkowo...

— Po co idziesz do komendanta — przeczuwając coś niedobrego, zapytałem Iwanowa.

Wyzywająco spojrzął mi w oczy i odpowiedział:

— Tobie co do tego? Ty masz swoje tajemnice, a ja swoje...

Iwanow nie należał ani do tych ludzi, którzy na wiatr rzucają słowa, ani do takich, którzy dla uratowania nas, mogą się zdecydować na krok pod względem etycznym bardzo ryzykowny — uprzedzenia władzy... Oczywiście Iwanow w ciągu nocy powziął inne jakieś postanowienie. Ale jakie? Znając go, mogliśmy podejrzewać stanowczych, a dla niego okropnych kroków z jego strony.

— Słuchaj Pawło! — odpowiedziałem mu chłodno, ale stanowczo. — W tej samej chwili, kiedy udasz się do komendanta — zażyję truciznę. Odpowiedzialność za popłoch wśród pozostałych, za nierozważne i nieobmyślane kroki z ich strony, spadnie na ciebie.

To oznajmienie podziałało. Iwanow się zmieszał.

Okazało się, że w ciągu nocy uplanował sobie, że pójdzie do komendanta, da mu policzek i w ten sposób przekona nas, że grośba chłosty zniknęła, bo jak przypuszczał, powieszą go, a nie poddadzą chłóście.

— Ależ to waryacya! Cóż to za sposób dowodzenia! Jeżeli cię nie ukarzą na ciele, to dlatego, że jesteś epileptykiem.

— A wy nie po waryacku postępujecie? Rozporządzenie dawno już napewno cofnięto, a wy się truc chcecie ...

Pomimo to Iwanow z obawy przed tym, bym postawionej groźby nie wykonał, cofnął swój zamiar

— Dobrze! Nie pójdę!

Niebezpieczeństwo minęło, było ono nadto mniej groźne, niż się to nam w pierwszej chwili wydawało. Komendant zbyt dobrze znał Iwanowa, by się zdecy-

dować na przyjęcie go, zwłaszcza, że żandarmi już mu donieśli o wielkim poruszeniu w więzieniu.

Zamiast Iwanowa został przez komendanta powołany starosta więzienia. Udał on się natychmiast bo wszyscy niemal towarzysze święcie wierzyli w cofnięcie rozporządzenia o chłości i polecili mu wymóżyć na komendancie pokazanie odwołującego rozporządzenia.

— Za co mnie Iwanow chce bić? — niemal na progu pokoju zapytał starostę Masiukow,

Oczywiście, nikt mu o zamiarach Iwanowa nie mówił, ale sam fakt żądania przez Iwanowa rozmowy z komendantem był dlań wystarczającym do wyciągnięcia wniosków, co do motywów i celu tego żądania

Starosta udał zdziwienie, oznajmił, że przyszedł w tej samej sprawie, co do której chciał pomówić z komendantem Iwanow i zażądał pokazania rozkazu odwołującego rozporządzenie o chłości.

Komendant nie od razu żądanie to uwzględnił. Odpowiadał wymijająco, powoływał się na to, że jeżeli rozkaz taki jest, to ma on „sekretny charakter“, a zatem nie może być pokazany.

Dopiero, gdy starosta oznajmił komendantowi, że odpowiedzialność za bardzo poważne następstwa odmowy tej składa na niego — przestraszony komendant zaczął zapewniać, że taki rozkaz istnieje, że on go mu pokaże. I rzeczywiście pokazał. W tym rozporządzeniu władze w iście biurokratyczny sposób pogodziły stosowanie kary cielesnej do więźniów politycznych z niestosowaniem ich. Był to rozkaz według użytego w nim wyrazu „uzupełniający“ poprzedni.

„Uzupełnienie“ to polegało na tym, że chłöße nie ulegają kobiety, a z mężczyzn wszyscy ci, co ukończyli wyższą, średnią, lub elementarną szkołę. Takich, co by żadnej szkoły nie ukończyli, na Karze nie było.

Uradowany starosta pospiesznie z radosną nowiną powrócił do więzienia. Zbyt ta wiadomość była dla nas ważną, byśmy na jej streszczeniu polegać mogli. Zażądano od komendanta, by pokazał ten rozkaz jeszcze pięciu przedstawicielom cel. Zgodził się i na to. Nareszcie! Rozporządzenie, które nas tyle cierpień, tyle krwi kosztowało, zostało cofniętym.

I odrazu wszystkie nieporozumienia i zatargi znikły.

Jeden z uwięzionych Iwan Starynkiewicz wystąpił z wnioskiem urzędzenia święta z powodu tego zwycięstwa i wybawienia dwóch towarzyszy od niechybnej śmierci. Wszyscy jednogłośnie wniosek ten poparli... Lody pękły... Dawne dobre, a serdeczne stosunki zapanowały w więzieniu. Nie było już tylko poprzedniego nastroju, który na zawsze wyrugowany został przez ciężkie, a bolesne wspomnienia o tych sześciu pochowanych w jednej bratniej mogile na cmentarzu karyjskim, których wszyscy uznawaliśmy za najlepszych, najdzielniejszych, najbardziej gotowych do ofiar. Białe, drewniane krzyż z napisem: „Nikto że lubwi bolsze imat', da kto duszu swoju położył za drugi swoja“. (Nikt więcej nie posiada miłości nad tego, kto duszę swą odda za przyjaciół swych), postawiony zmarłym przez towarzyszy, był jedynym w tych warunkach możliwym dla ujawnienia wyrazem ich czci

dla męczenników. Carat pomimo swej chęci i woli, również złożył hołd ofiarom swego mordu.

Tragedya na Karze stała się owego czasu głośną w całym świecie ucywilizowanym. Na wielkim mityngu w Hyde-Parku w Londynie nawet Gladston, który dotąd obojętnie się zachowywał względem tego, co się działo w Rosyi, oburzony do najwyższego stopnia, piętnował carat za katowanie inteligentnej kobiety do śmierci. Umysłem angielskim tak się bowiem ta sprawa przedstawiała... Wówczas rząd dbał jeszcze o opinię zachodu i rachował się z nią... Pod wpływem tej poruszonej przez samobójstwa karyjskie opinii, ukazem carskim zniesiono stosowanie kary cielesnej do kobiet.

Ta zmiana w ustawodawstwie, to wyzwolenie dziesiątków tysięcy kobiet — katorżanek — od hańbiącej kary — to pomnik spiżowy dla tych, co w tej sprawie życie złożyli, co legli, by inni bardziej czuli się ludźmi...

Od karyjskiej tragedyi minęło już 18 lat... Wiele czynów, wielu ludzi zginęło od tego czasu w bezbrzeżnym i bezdennym morzu zapomnienia. Chwilami się zdawało, że w tej przepaści giną i męczennicy karyjscy. Nie zginęli. Gdy na chwilę „słońce swobody zabłysło“ nad Rosyą, gdy „wiatr zachodni ogrzał państwo carów, gdy drgnęła kaskada tyraństwa“ i przedstawiciele ludu sądy sprawować zaczęli nad sługami carskimi za wszystkie przestępstwa, zbrodnie i mordy, znowu imionami poległych na Karze jak szpicrutą smagano carat... Ich imiona stały się symbolem walki o godność ludzką i pominąć ich było nie sposób...

ROZDZIAŁ X.

Po tyłu przejściach zdawało się, że nareszcie nastąpi chwilowy spokój. Walka nas zmęczyła. Spokoju tego pragnęliśmy. Nie dawano nam go jednak. Co pewien czas wpadali żandarmi z rewizją. Szukali szpeleri. Dawniej rewizyi takich dokonywano tylko formalnie, obecnie zaś z każdego ruchu żandarmów widać było, że rzeczywiście czegoś szukają, że na znalezieniu im bardzo zależy. Zachodziliśmy w głowę, szukając przyczyn tej nagłej ich gorliwości, ale nikt oczywiście nie mógł się domyśleć, że wywołał ją fałszywy donos Ossowskiego, który poruszył nie tylko władzę miejscową, ale nawet władze centralne. Szukano ni mniej, ni więcej jak materyałów wybuchowych, które rzekomo miały być na Karze na użytek rewolucyi przygotowane.

Gdyśmy kpili z żandarmów, dowiedziawszy się o tym donosie Ossowskiego, z tryumfem nam oznajmiono:

— A o zamachu na cara nie uprzedzano was!?...

Można sobie wyobrazić nasze zdumienie na takie dictum. Okazało się jednak, że w posiadaniu żandarmów znajduje się depesza z Petersburga, zaadresowana do nas, co do znaczenia której nie mogło być, jak się zdawało żandarmom, żadnej wątpliwości.

Treść owej depeszy była następująca:

„Wujaszek przyjechał. Operacya odbędzie się we wrześnieu“. „Wujaszek“ — według interpretacyi żandarmów i Ossowskiego — to car; „operacya“ to zamach.

Dziwić się tylko należy, że mając taki niezbity dowód w ręku, nie oddano nas pod sąd...

Gdyśmy się o tem dowiedzieli, śmieliśmy się do rozpuku i podziwiali pomysłowość Ossowskiego, który doskonale wiedział, co znaczyła ta depesza i w tak znakomity sposób wyzyskał ją, by wyłudzić od Masiukowa kilka rubli. Sprawa ta była zupełnie prostą. Już wspominałem o tym, że nasze środki materyalne zawsze były szczupłe. W ciągu 1889 i 1890 roku zeszczuplały one jeszcze bardziej. Czas robi swoje. Nawet najbliżsi, ongi zrozpaczeni straszną karą, jaka na głowę ich krewnego spadła, powoli stopniowo przyzwyczajają się do jego nieobecności, a nieraz zapominać zaczynają o jego istnieniu... Takich zapomnianych było na Karze wielu i co rok ilość ich wzrastała...

Nędza i głód zmuszały do pomyślenia o sposobach zapełnienia coraz bardziej wzrastających luk w budżecie. Przez krewnych znanego poety - katorżnika Piotra Jakóbowicza-Mielszyna, który dzielił nasz los na Karze, zawiązaliśmy stosunki z wydawcami petersburskimi i otrzymaliśmy obstalunek na tłumaczenie „Hygieny dziecka“ Uffelmana.

Cała trudność polegała na przesłaniu rękopisu tłumaczenia do Petersburga, jednakże pokonaliśmy tę trudność, rękopis szczęśliwie doszedł na miejsce przeznaczenia i on był tym „wujaszkiem“, którego miano „operować“, czyli poprostu mówiąc drukować we wrześniu. Zakaz zajmowania się wszelką pracą zarobkową, zmuszał do takiego konspiracyjnego zawiadomienia, a ta konspiracya przy łaskawym współudziale bujnej fantazyi Ossowskiego i jeszcze bardziej bujnej głupoty i bezmyślności żandarmów przekształciła się w zamach na cara.

Pytanie p o c o by nas o przygotowanym zamachu uprzedzać miano — dla żandarmów nie istniało. Oczywiście, według ich mniemania mieliśmy taką rangę rewolucyjną, że nie meldować nam o tak ważnym akcie było nie sposób.

W takich wypadkach jak ten, pomimowoli wspominaliśmy komendanta Nikolina. Był to łotr skończony, ale nie był głupcem i walki z wiatrakami by nie toczył. Ale cóż? Wszelki przez władzę zamianowany najwyższy urzędnik już przez to samo jest uosobieniem rozumu, taktu i sprawności i uczciwości. „Prikażut i akuszerom budiesz!“ — Rozkazą i staniesz się akuszerem — mówią Rosyanie... Rozkazano i Masiukow — osioł, tchórz, nicpoń, człowiek bez charakteru i karciarz, stał się komendantem. Nie było sfery w jego działalności, w którejby się zorientował i postępował, jak należy, rząd go jednak trzymał na urzędzie. Skończyło się to panowanie na tym, że zdefraudował nam pieniądze. Systematycznie przegrywając w karty, „pożyczał“ sobie na odegranie od nas, oczywiście bez naszej wiedzy i woli, a gdyśmy się spostrzeżgli na tym, przyznał się do wszystkiego, błagając o litość, obiecując wszystko co do grosza wypłacić. Według mnie, nie należało mu przebaczać. Przeciwnie, sprawie tej należało nadać jaknajwięcej rozgłosu: niechby cały świat wiedział, jakiego komendanta tak zapamiętałe rządu bronił do ostatka. Większość jednak była innego zdania, przebaczone mu, a gdy groźba sądu zniknęła, z długu się nie uiścił.

Cała ta defraudycya ujawnioną została już po wyjściu naszym na „wolne kwatery“, po przeniesieniu

13 towarzyszy do więzienia w Akatju we wrześniu 1890 roku. O tym Akatju już dawno od pięciu lat krążyły pogłoski, ale rząd wciąż się wahał i zwlekał. W 1890 atoli roku te pogłoski stawały się coraz bardziej uporczywymi, z wolności nam komunikowano, że stare więzienie akatujskie już odnawiają, że lada dzień mogą nas przenieść. Ze wszystkich tych zarządzeń widać było, że rząd pod wpływem wypadków listopadowych zdecydował się na krok ostateczny. Był to bowiem krok ostateczny.

Na Karze znajdowaliśmy się w specjalnym więzieniu dla politycznych, straż w tem więzieniu trzymali żandarmi, główny zarząd więzieniem też do żandar mów należał. Żadnych przymusowych robót nie było, obchodzenie się z więźniami było w czasach normalnych grzeczne, a w chwilach gdy rząd robił kroki w celu przeprowadzenia jakichkolwiek zmian, więźniowie występowali solidarnie i jednolicie przeciwko temu. Ta jednolitość i solidarność była solą w oku rządu. Skruszyć ją i złamać — było najbliższym celem rządu, pierwszym krokiem do przeprowadzenia zmian. Na Karze to się udać nie mogło. Trzeba więc było przede wszystkim przenieść politycznych do innego więzienia, ulokować w jednych celach z kryminalistami, znieść wszelkie przywileje, krócej mówiąc, zrównać z zwykłymi kryminalistami. Zdecydować się na to wcale nie było łatwo, bo ci polityczni mogli odpowiednio odziać na siedzących w jednej celi z nimi kryminalistów i w rezultacie zamiast ukorzenia politycznych mogło nastąpić zbuntowanie kryminalistów, wcale dla rządu oczywiście niepożądane. Był nadto jeszcze jeden

bardzo poważny szkopał. Dopóki polityczni korzystali z pewnych przywilejów, można ich było pod wielu względami upośledzać, nie wypuszczać po upływie prawem przewidzianego terminu na „wolne kwatery“, zabraniać pisania listów w pierwszej osobie i zmuszać do pisania w imieniu komendanta, wysłać po ukończeniu katorgi do krainy jakutów, podczas gdy kryminaliści pozostawali w położonym na południu kraju zabajkalskim, a nadto im pozostawiano wybór miejsca zamieszkania itd. Po zrównaniu w prawach z kryminalistami oczywiście wszystkie te „przywileje“ kryminalistów musiałyby być również stosowane do politycznych.

Wreszcie wieczna zmora rządu obawa — by kto z politycznych nie uciekł z wspólnego z kryminalistami więzienia, co zwłaszcza po usunięciu straży żandarmskiej, było bardzo łatwym — ochładzała zapaly rządu... Sromotnie w listopadzie przegrana sprawa, skłoniła go jednak do tego ryzykownego kroku.

Wiadomości o przeniesieniu do Akatuja w połowie 1890 roku już nam komunikowano półoficyalnie, a w sierpniu dla uroczystego oznajmienia nam o tym, przyjechał nadamurski generał-gubernator baron Korf, ten sam, który onego czasu kazał wysłać Kowalską do Werchnieudińska, i którego podpis figurował pod słynnym rozporządzeniem o chłóście.

Zebrano nas w podwórzu, otoczono żołnierzami i żandarmami, i Korf wygłosił mowę. Oznajmił o przeniesieniu nas do Akatuja, o zrównaniu z kryminalistami... „Rząd będzie ściśle przestrzegał instrukcyi i ani w jedną, ani w drugą stronę, ani w stronę ulżenia, ani

też w stronę pogorszenia waszego położenia od niej nie odstąpi...“

Mówił głosem niepewnym, wpatrując się w nasze twarze. Być może, że przeczuwał niebezpieczeństwo, jakie mu groziło, jeżeli nie z naszej strony, jako całości, to ze strony jednego z nas, chorego na umyśle Fomiczowa, tego carysty, o którym już wspominałem.

Ostatnie wypadki pogorszyły jego stan, był bardziej zdenerwowany, bardziej podniecony. Kilka dni spędził w ogólnym lazarecie, ale gdy pod oknami pokoju, który zamieszkiwał, ochłostano dwóch kryminalistów, powrócił do więzienia... I teraz oto, gdy usłyszał słowa Korfa o zrównaniu nas „w prawach“ z kryminalistami, okropna scena chłosty, której był świadkiem, na nowo stanęła mu przed oczyma, niepostrzeżenie wymknął się z podwórza na korytarz, schwycił polano i już wracał z powrotem na podwórze, by doraźnie ukarać niegodziwego czynownika, tak opacznie wykręcającego miłościwe zarządzenia carskie, gdy ktoś z towarzyszy zauważył go, rozbroił i odprowadził do celi.

Dziwną moc ma milczenie. Jak przedtem Choszchin, tak obecnie Korf doznał na sobie tej potęgi. Nikt mu nie odpowiadał, nikt nawet miną, ruchem, giestem nie ujawnił tego, że słyszy, że rozumie o co idzie... Pod wpływem tego grobowego milczenia Korf plątać się zaczął, bełkotał coś, jakby chcąc się usprawiedliwić, że on osobiście nie przyczynił się w niczym do zmian jakie zaszły, wreszcie zapytał, czy nie pragnie kto postawić jakich pytań.

Nikt mu nie odpowiedział ani słowem, ani ru-

chem. Odczuł wówczas, że mamy go za kata i że dlatego milczymy. Jeszcze bardziej zmieszany, już zrobił kilka kroków w stronę bramy więziennej, gdy jeden z towarzyszy, wbrew wszystkim przemówił, stawiając jakieś dodatkowe zapytanie... Korf, jak gdyby się ucieszył, zaczął z ożywieniem odpowiadać, przekonywać, że będzie baczenie pilnował, by wszystkie ulgi, z jakich korzystają kryminaliści, stosowano i do nas.

Oburzeni na towarzysza, który tak niebacznie postąpił, słuchaliśmy tych słów zbrozonego we krwi Sigidy barona i nie mógł nas nie obrażać ton jego zapewnień...

— Nigdy nie pozwolimy na zrównanie nas z kryminalistami, zwłaszcza co do stosowania do nas chłosty — przerwał okrzykiem to przemówienie Korfa jeden z uwięzionych... Zdetonowany generał-gubernator zaczął zapewniać, że nikt o tym nawet nie myślał i nie myśli...

— A Sigida! — krzyknął drugi towarzysz.

Nie należało tego robić. Imienia tej męczennicy nie należało wymieniać w rozmowie z tym, którego ręka podpisywała rozkaz o ukaraniu jej... Nie należało sprawcy dawać sposobności do tłumaczenia, wykręcania się...

Stało się jednak... Ludzie już przestali panować nad swymi nerwami i postąpili niewłaściwie... Korf się tłumaczył, zwał winę na innych, wzdychał, mówił, że należy zapomnieć o przeszłości, której cofnąć nie sposób...

Jakie to charakterystyczne! Kat, przekonywujący skatowanych o konieczności zapomnienia jego czynów!

Zadowolony, że mu się udało przełamać lody milczenia, Korf odszedł, a myśmy powrócili do swych cel poniżeni, oplwani.

Nie długo jednak trwał ten stan. Już o zmierzchu tego samego dnia, gdyśmy zebrali się w celach w oczekiwaniu kontroli wieczornej, naraz w korytarzu wszczął się niezwykle tumult, bieganina. Słysząc było krzyk, jęk, trwożliwe jakieś wołania.

— Co się stało? Co się stało? — rozlegały się zapytania ze wszystkich cel...

Po chwili, która wydała nam się długą jak nieskończoność, otrzymaliśmy odpowiedź na to pytanie.

Fomiczow, bardziej niż inni podniecony wypadkami dnia, nie porzucił myśli o czynnej odpowiedzi na wyzwanie Korfa. Zaczął się z polanem w rękę w ciemnym kącie korytarza, i gdy przyszedł nadzorca więzienia Pachorukow, z całej siły ugodził go polanem w głowę. Pachorukow runął bez zmysłów na podłogę, przestraszeni żandarmi z krzykiem „biją naszych“ rzucili się w kierunku bramy więziennej, i gdyby staroście nie udało się ich zatrzymać i uspokoić, zaalarmowałyby wojsko i połałaby się krew.

O Fomiczowie wiadano, że jest umyślowo chorym. Spokój starosty wpłynął uspokajająco na żandarmów. Ze słowami: „Prawda! to waryat!“ powrócili na korytarz. Tu już Pachorukowa nie było. Znajdujący się przypadkowo w korytarzu towarzysze, pochwycili go na ręce i zanieśli do celi szpitalnej, gdzie towarzysz Prybylew udzielił mu pierwszej pomocy, poczym go odniesiono do jego mieszkania, gdzie po kilku tygodniach kuracyi wyzdrowiał.

Podczas całego tego zajścia, najbardziej spokojnym z nas wszystkich był Fomiczow. Przedewszystkim oznajmił on żandarmom, że on wykonał zamach na Pachorukowa, i że nikt z więźniów o tym jego zamiarze nie wiedział, potem na zapytanie towarzyszy, dlaczego właśnie na Pachorukowie zemścił się za czyny całej biurokracji, objaśnił, że właśnie Pachorukow podczas jego pobytu w lazarecie więziennym kazał ukarać na ciele kryminalistów.

Tego samego samego dnia zabrano Fomiczowa do lazaretu. Tu uznano go za waryata, nieodpowiedzialnego za swe czyny, i sprawę formalnie umorzono. Miała ona jednak ogromne znaczenie. Było to groźne „memento“ skierowane pod adresem administracji więziennej, z którym się ona nie rachować nie mogła.

Kilka dni po tym wypadku wypuszczono do tak zwanych „wolnych komand“ trzech żonatych towarzyszy: Rechniewskiego, Suchomlina i Luriego.

Świadczyło to o tem, że Korf dotrzymuje obietnicy i te ulgi, z których dotąd korzystali tylko kryminaliści i do nas nadal stosować zamierza... Minęło jeszcze trzy dni i zakomunikowano nam listę 17 osób, które mają być nazajutrz wypuszczone do „wolnych komend“. W ich liczbie byłem i ja. Pozostawało 13: Bierezniuk, Czujkow, Mojżesz Dikowski, Dulęba, Dzwonkiewicz, Iwanow, Jakóbowicz, Lewczeńko, Mańkowski, Nagornyj, Sękowski, Spandoni i Zundelewicz, których wysłano do Akatuja.

Nigdy nie przypuszczałem, że może nastąpić chwila, gdy staną otworem przedemną wrota więzienne, a ja z bolem i smutkiem będę opuszczał więzienie... A je-

dnak tak było... Trzynastu towarzyszy, których pędzono o kilkaset wiorstw od Kary, których czekała bodaj że najstraszniejsza walka, walka na dwa fronty, z otaczającymi ich kryminalistami i z władzą, ciągle stało przed memi oczyma i, wychodząc z więzienia, czułem się winnym wobec nich, winnym tego, że nie podzielałem ich losu, nie wezmę udziału w ich walce...

— Prędeż panowie: Czekamy na was! — pobudzali nas do wyjścia za bramę żandarmi, a myśmy się ociągali, jakiś wstyd niewypowiedziany trzymał nas na miejscu... Żegnaliśmy się z tymi skazanymi na dalszą mękę. Wielu płakało...

— Do widzenia!

Żegnaliśmy się tym słowem, zupełnie nie wierząc, żebyśmy się jeszcze kiedykolwiek w życiu ujrzeć mieli.

Komendant przysyłał coraz to nowych gońców, byśmy opuścili więzienie. Przedstawiciele nowej władzy, która po żandarmach obejmowała zarząd, też nas naglili do wyjścia.

Skorzystaliśmy z tego i zastrzeżliśmy sobie prawo pożegnania się jeszcze raz w dzień ich wyjścia z Kary. Obiecano to nam i słowa dotrzymano... Na trzeci dzień wpuszczono nas znowu do więzienia... Wszyscy towarzysze byli na nowo zakuci w kajdany i wesoło pobrzękiwali łańcuchami. Było im lepiej, niż nam. Jedni żartowali, drudzy obiecywali za rok powrócić... O pierwszej godzinie po południu weszli do więzienia kozacy, kazano się nam pożegnać i wyjść...

Po półgodzinie wyprowadzono ich z więzienia. Pożegnaliśmy ich jeszcze raz zdaleka, bo już nas do nich niedopuszczono... Skręcili na drogę i poszli... Po

chwili już tylko brzęk kajdan wskazywał na kierunek, dokąd ich prowadzono... Potem i ten dźwięk zamarł, a wraz z nim na zawsze istnieć przestało słynne więzienie karyjskie...

ROZDZIAŁ XI.

Niewesoło było nam na duszy, gdy nas wypuszczano z więzienia... Otworzono przed nami wrota, żandarmi poszli przodem, my za nimi... Szliśmy apatycznie, przeżywając w duszy chwilę pożegnania z towarzyszami, nie myśląc, ani zastanawiając się, dokąd idziemy i poco.

Ocknęliśmy się dopiero w chwili, gdy żandarmi zatrzymali się przed swemi koszarami i zadali nam pytanie: „A wy, panowie, dokąd?“ Okazało się że przyzwyczajeni długoletniemu więzieniu, szliśmy... za żandarmami. Rumieniec wstydu oblał nam twarze... Odwróciliśmy się od tych naszych długoletnich aniołów opiekuńczych i poszliśmy szukać towarzyszy, już dawniej wypuszczonych z więzienia. Szliśmy długo... Zupełnie odzwyczailiśmy się od chodzenia... Dziesięć minut drogi ogromnie nas zmęczyło. Gdyśmy przechodzili koło jednej z izb, wybiegły nam na spotkanie psy i łasić się do nas zaczęły...

— Muszą tu nasi mieszkać — zauważył ktoś z towarzyszy.

Domysł jego był trafny. Po chwili z izby wybiegła Witolda Rechniewska (z domu Karpowicz), administracyjnie zesłana w sprawie „Proletaryatu“ na pięć lat do Zachodniej Syberyi, której dopiero po upły-

wie tego terminu pozwolono przyjechać do męża na Karę.

Zmęczeni zrobiliśmy w jej izbie pierwszy przystanek. Po kilku minutach byli tu już wszyscy towarzysze.

Rozmowa się jednak nie kleiła. Pozostawieni w więzieniu na pastwę rządu towarzysze nie wychodzili nam z głowy.

Nazajutrz wypuszczono z więzienia cztery towarzyski. Wyszliśmy na ich spotkanie... Dziwnym zbiegiem okoliczności, te cztery towarzyski reprezentowały trzy różne epoki ruchu rewolucyjnego. Najstarsza z nich, Zofia Leszern von Harzfeld, była przedstawicielką słynnego „choźdienia w narod“, epoki, kiedy rewolucyoniści po raz pierwszy jako apostołowie rzucili się do ludu z dobrą nowiną socjalistyczną. Drugą z kolei była Anna Korba, jedna z wybitniejszych działaczek „Narodnej Woli“, członek Komitetu Wykonawczego z czasów po 1 (13) marca 1881 r., kiedy z rąk rewolucjonistów padł Aleksander II. Korba razem z drugą, wypuszczoną tegoż dnia z więzienia, Iwanowską, była skazaną na 20 lat katorgi w sprawie Graczeńskiego w 1882 roku. Wreszcie czwarta, Dobruskina, była skazaną w sprawie ostatnich mohikanów, „Narodnej Woli“ — Hermana Łopatina itd. Towarzyski też z niewesołem sercem opuszczały więzienie, w którym pozostawały słynna Jakimowa-Kobyzewa, uczestniczka zamachu na Aleksandra II, Sałowa, Trinidastka i Ananijina.

Z towarzyszkami spotkaliśmy się po raz pierwszy

a jednak od pierwszej chwili czuliśmy się z nimi jak bracia.

— Chodźmy na cmentarz! — zaproponowała Dobruskina.

Pragnęliśmy tego sami i udaliśmy się tam tego samego dnia... Tylu umarło na Karze, żeśmy już tu mieli „swój“ cmentarz...

Nie mogę się tu powstrzymać od podania niektórych cyfr, które lepiej, niż wszystkie opisy, kreślą stan rzeczy na Karze.

Skończyli samobójstwem: 1) Bobochow, 2) Iwanajn, 3) Kowalewska, 4) Kaluźnaja, 5) Kaluźnyj Iwan, 6) Siemianowskij, 7) Smirnicka, 8) Sigida, 9) Rodin. Zmarli: 1) Ananjina (już po moim wyjeździe), 2) Atanades, 3) Armfeld, 4) Bohomolec (po moim wyjeździe), 5) Wejmar, 6) Żukow, 7) Iljaszenko, 8) Lebidiewa, 9) Lisowska, 10) Opryszko, 11) Popko, 12) Rogaczew, 13) Uspieński.

Ogółem było przez cały czas istnienia więzienia na Karze 217, umarło 22, a zatem przeszło 10 proc. Zwłaszcza ogromnym jest procent zmarłych kobiet. Na 32 umarło na Karze 9, a do tego dodać należy jeszcze Rossikową, przewiezioną z Kary do więzienia w Irkucku, gdzie wkrótce umarła.

Długo staliśmy nad grobami towarzyszy, przeżywając jeszcze raz w duszy ostatnie zajścia w więzieniu, i dopiero na odchodnym zauważyliśmy, że o kilka kroków od „naszych“ grobów znajdował się grób zmarłego na Karze jakiegoś żandarmskiego oficera... Sprawilo nam to przykrość... Tu już można się było chyba obejść bez takiego sąsiedztwa. To jedno raziło, bo poza

tem cmentarzyk ten, „nasz cmentarz“ — jak się wyrażano — był bardzo schludnie utrzymywany przez towarzyszy.

Już zmierzchać zatrzymało, gdyśmy opuszczali cmentarz... Trzeba było pomyśleć o noclegu i dla Dobruskiej i dla siebie... Rząd, co prawda, oddał nam do dyspozycji kilka domków, ale nie były one jeszcze podzielone między towarzyszy, którzy i tu się rozlokowywali według sympatii, i czasowo spaliśmy, gdzie się dało... Dopiero po upływie kilku dni zaprowadzono jaki taki ład, rozlokowano wszystkich i rozpoczęto przygotowania na zimę. Dotąd tej troski nie mieliśmy. Opiekunczy rząd dostarczał drzewa na opał więzienia. Na „wolności“ sami musieliśmy się o to troszczyć. Nie było to przykrem. Przeciwnie. Po tylu latach siedzenia nawet jesienny las nas nęcił. Uzbrojeni w siekiery i piły, udaliśmy się o świcie do lasu i rozpoczęła się robota... Niektórzy, a bodaj że nawet większość, po raz pierwszy w życiu wykonywali taką robotę; to też dziwić się należy, żeśmy względnie cało wyszli z tej pierwszej próby... Były wypadki, że drzewo, już zupełnie spiłowane, stało dalej jak zupełnie nietknięte... Spychaliśmy go i wówczas padało, ale niekiedy w zupełnie inną stronę, niż przewidywaliśmy i tylko wypadek zarządził, że nikogo nie zdruzgotało. Niekiedy znowu niezupełnie przepiłowane drzewo przedwcześnie padało i znowu w najmniej pożądanym kierunku.

Z wypadków, jakie się wówczas zdarzyły, zapamiętałem trzy: w jednym wypadku Luri i Dejcz już zwalone drzewo przepiłowywali na polana. By te polana były równe, Dejcz odmierzał pięć ćwierci, a Luri

siekierą robił znak na drzewie, gdzie piłować należy. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć — odmierzył Dejcz i zatrzymał palec na miejscu. Luri uderzył siekierą i kawałek palca Dejcz odleciał... W dwóch innych wypadkach, mniej zresztą poważnych, odznaczyła się Polonia: Tadeusz Rechniewski i ja. Stanowiliśmy parę w piłowaniu. On był fizycznie silny, ja znacznie słabszy i nieraz piły pociągnać do siebie nie byłem w stanie. Chcąc mi dopomóc, Tadeusz pchnął ją, piła się zgięła i padła mi na palec. Nie widząc tego, Rechniewski pociągnął piłę i rozplątał mi palec do kości. Innym razem, już w jaki miesiąc później, piłowaliśmy drzewo przed domkiem, zamieszkanym przez Rechniewskich. Głęboki śnieg pokrywał całe podwórze. Klęczeć do piłowania w śniegu było bardzo niedogodnie, to też postanowiliśmy położyć ogromne drzewo na kozłach, by piłować, stojąc... Rechniewski uniósł w górę z jednego końca drzewo, ja podstawiłem kozioł, on je opuścił mniej powoli, niżby należało, kozioł pękł i rozstrzaskał się na drobne kawałki i jeden z tych kawałków ugodził mnie w skroń... Padłem, jak nieżywy. Wniesiono mię do mieszkania Rechniewskiego, cucono, sprowadzono towarzysza-lekarza. Doznałem wstrząśnienia mózgu, ale wkrótce przyszedłem do siebie...

Nie zważając na te drobne wypadki, roboty te miały dla nas wielki urok i pozostawiły bardzo przyjemne wspomnienia... „Wolność“ jednak niosła z sobą i mniej przyjemne zjawiska. W „wolnych komendach“ z konieczności ta równość materyalna, jaka cechowała nas w więzieniu, znikła... Jedni znaleźli zarobki lepiej

płatne, inni gorsze, jeszcze inni żadnych znaleźć nie mogli. Podatek postępowy, wprowadzony dla zmniejszenia tej nierówności, łagodził ją tylko, ale nie niweczył. A tej nierówności materialnej towarzyszyły i inne wyróżnienia: jedni żyli lepiej, ubierali się lepiej, mogli korzystać z wszelkich dobrodziejstw wolności, inni byli tego pozbawieni...

Mnie osobiście to już niemal nie dotyczyło wcale. Byłem na wylocie z Kary... Dni mego pobytu tu już były policzone. „Wylot“ ten nie obył się atoli bez charakterystycznego dla biurokracyi rosyjskiej curiosum. Pewnego pięknego poranku zostałem wezwany do nadzorca, który mi oznajmił, że otrzymał depezę od zarządzającego nerczyńską katogą z następującem zapytaniem: „Zapytaj pan Kona, gdzie pragnie zamieszkać po wyjściu z katorgi“. Odpowiedziałem, że w jednym z miast kraju zabajkalskiego, i coprędzej pobiegłem do towarzyszy zawiadomić ich o tej tak ważnej dla wszystkich nowinie. Był to pierwszy wypadek, że nas zrównano z kryminalistami i pytano, gdzie chcemy zamieszkać, nie wysyłając bez pytania do kraju Jakutów... Wielka radość zapanowała wśród towarzyszy... Winszowano mi, winszowano sobie... Projektowano nawet urządzenie uczty... Po kilku dniach jednak nadszedł drugi telegram: „Wysłać Kona do kraju jakuckiego do dyspozycyi miejscowego gubernatora“...

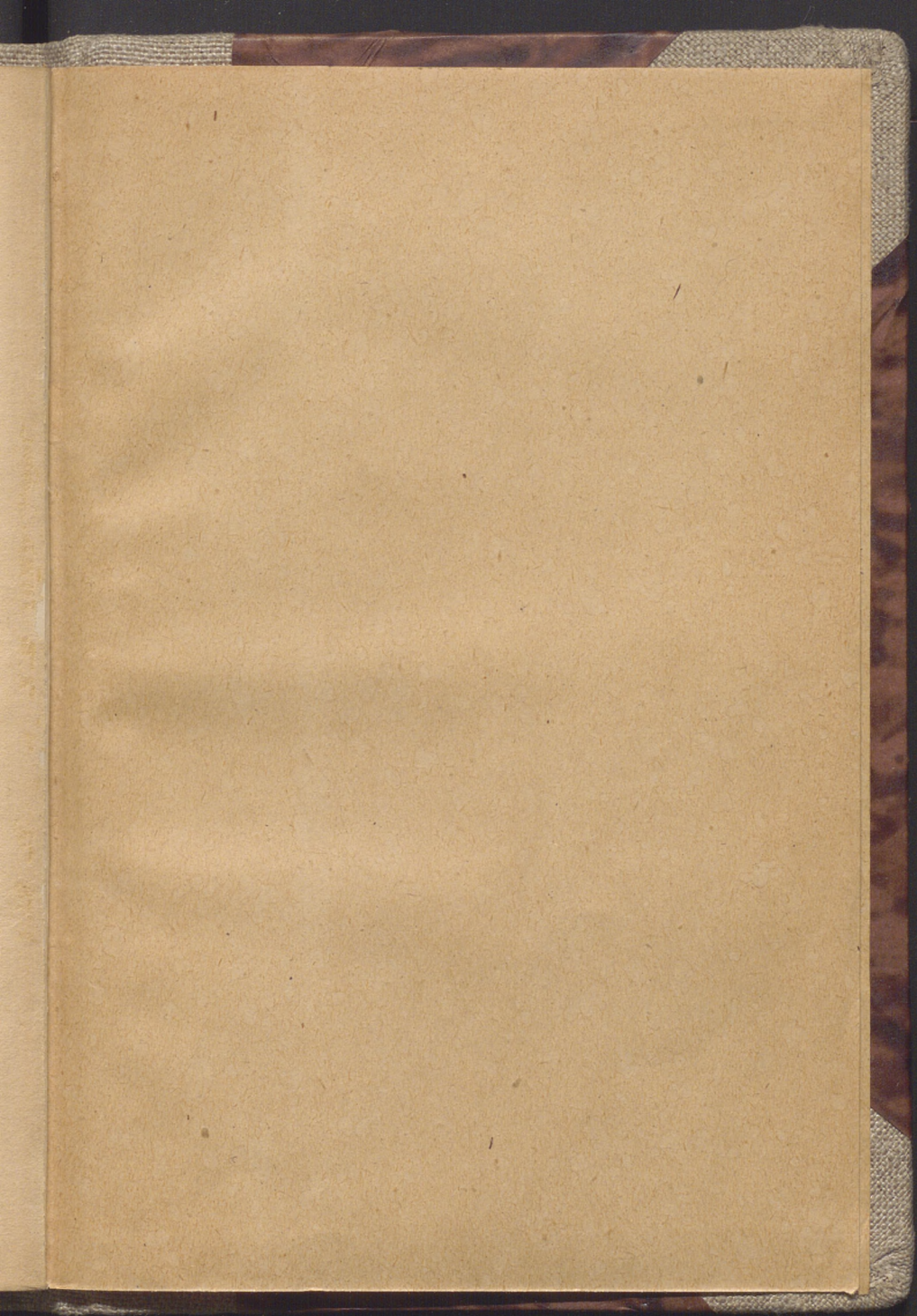
Okazało się, że naczelnik katorgi zbyt był naiwnym i rzeczywiście uwierzył w owo zrównanie z kryminalistami... Gubernator skarcił go za to i... sprawiedliwości stało się zadość: politycznych po dawnemu wysyłano do Jakutki.

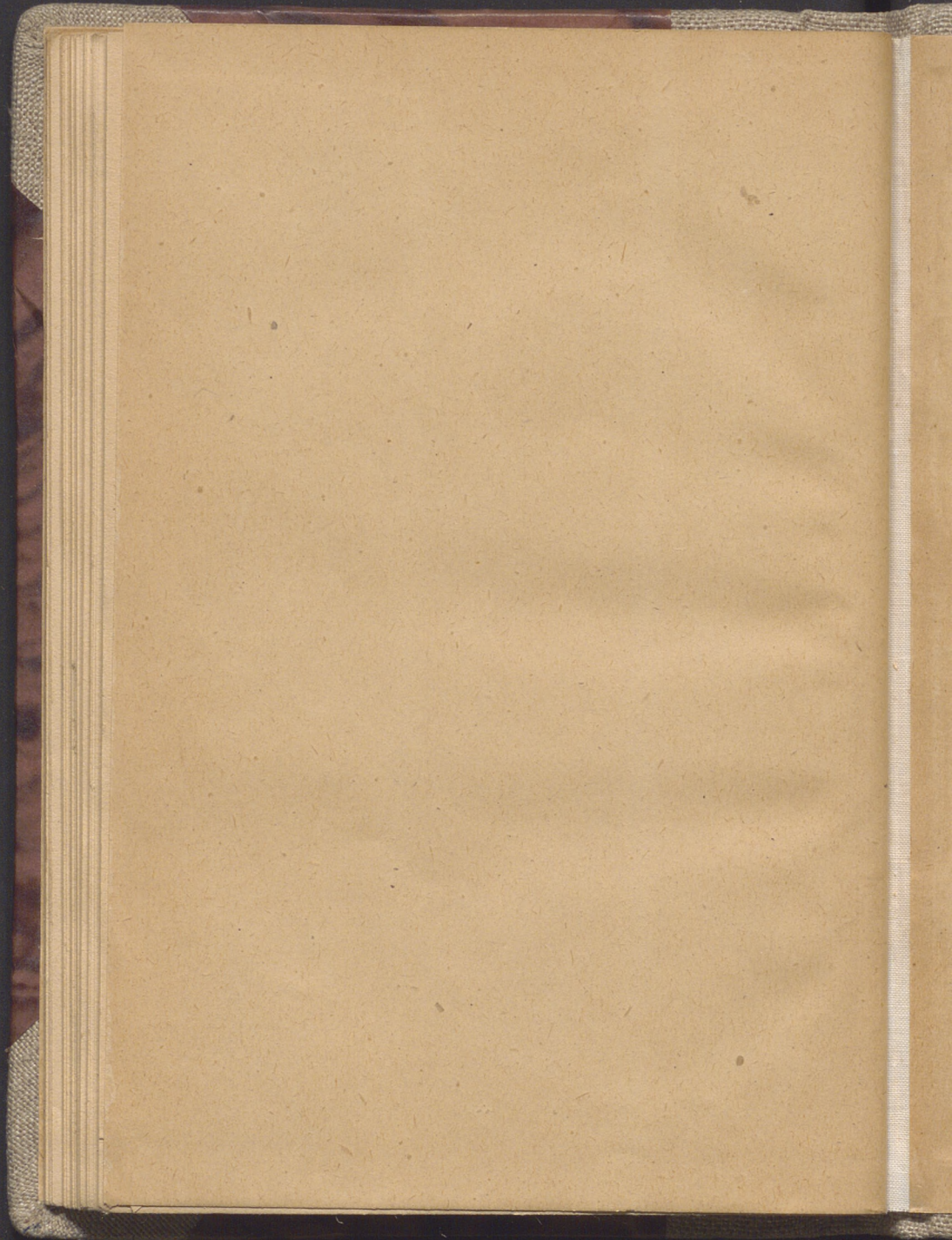
Towarzysze namawiali mię, bym pod pretekstem choroby zatrzymał się jeszcze kilka tygodni i przeczekał mrozy styczniowe. Nie zgodziłem się na to... Ciężko mi było rozstawać się z ludźmi, z którymi tyle czasu spędziłem razem, obok których walczyłem; żał mi było porzucać drogie wielkie mogiły karyjskie... Ale „dołgije prowody — lisznija śliozy“ długie pożegnania — to zbyt cenne płacze. Pożegnałem wszystkich i znowu z partją kryminalistów ruszyłem w świat.

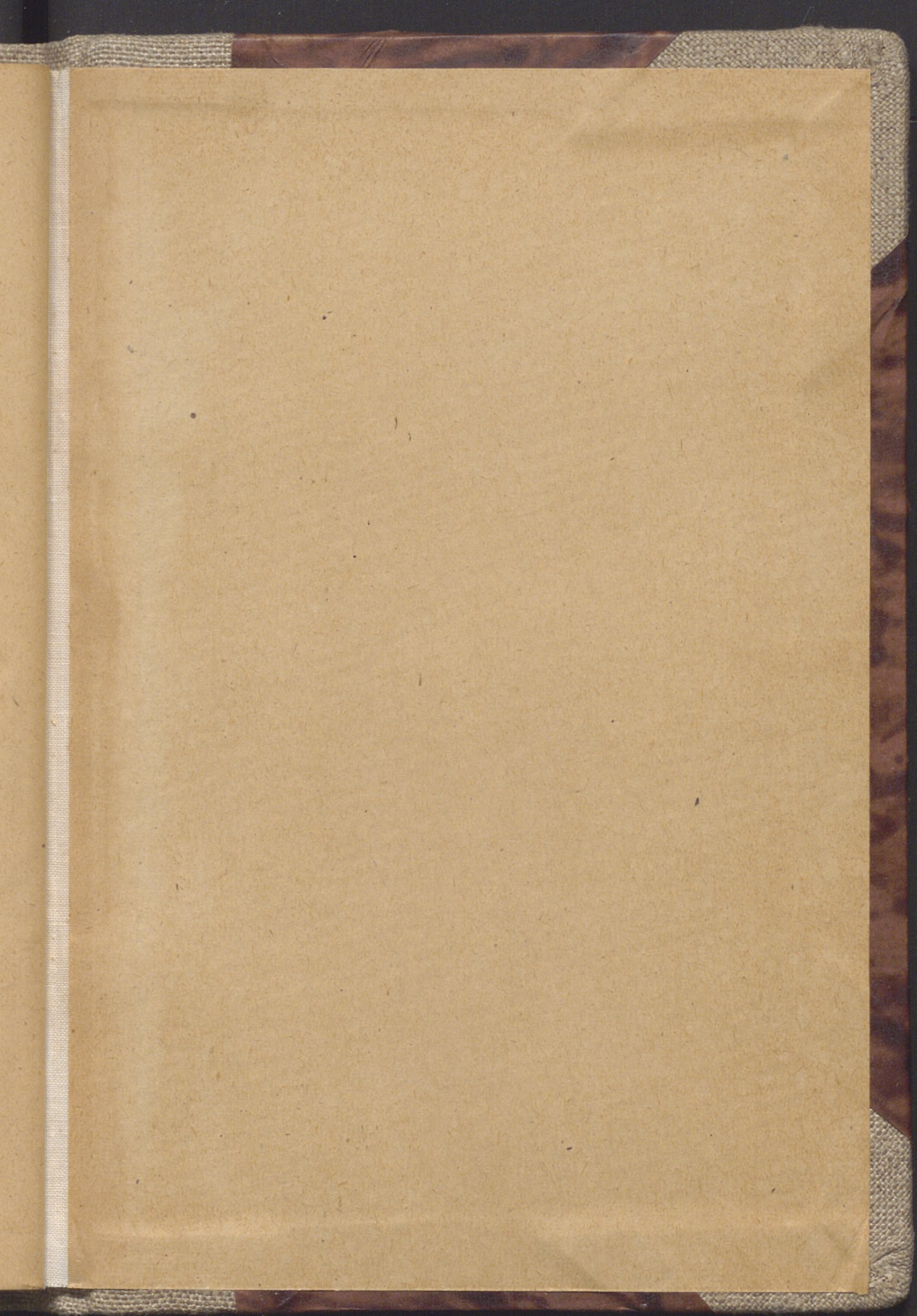
K O N I E C.



1226/14









BIBLIOTEKA
NARODOWA

52120

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001016577679